



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 13 lutego 1955 r.

Nr 7 (255) Rok VI

Plebiscyt Czytelników „Nowej Kultury“

„DZIESIEĆ NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK DZIESIĘCIOLECIA“

Chcąc wiedzieć, jak się kształtują sady literackie i oceny czytającego ogółu, ogłaszamy plebiscyt: „DZIESIEĆ NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK DZIESIĘCIOLECIA“. Czytelnicy proszeni są o zgłaszanie dziesięciu książek współczesnych polskich autorów (powieści, opowiadania, zbiory wierszy, sztuki dramatyczne, pamiętniki, eseje), które uważają za najlepsze. Plebiscyt nie obejmuje wznowień książek wydanych dawniej.

Uczestnicy plebiscytu wypełniają (załączone na stronie 6) karty plebiscytowe wpisując nazwiska autorów i tytuły książek w kolejności ocen.

Termin nadsyłania kart do redakcji „Nowej Kultury“ (Warszawa, Wiejska 12) upływa 15 marca 1955 r.

Miedzy uczestników plebiscytu zostaną rozlosowane cenne nagrody.

Czytelnicy „Nowej Kultury“ — do plebiscytu!

JULIUSZ KLEINER

WYDANIE NARODOWE DZIEŁ MICKIEWICZA

Zasługę wielką i chlubę Polski współczesnej stanowi doprowadzenie do pełnej edycji Dzieł Mickiewicza, mającej wysoki walor naukowy, i udostępnienie tej edycji całemu narodowi. W tym celu w 1920 roku Sejm Ustawodawczy uchwalił ogłoszenie na koszt rządu edycji kompletnej Dzieł poety przeznaczonej dla szerokiego ogółu. Zbyt powoli jednak kształtowało się to „wydanie sejmowe“, które pomimo niskiej ceny wyjątkowo pięknych tomów pozostało wydawnictwem dla elity, a przerwane zostało w r. 1939 przez wybuch wojny co nawet gotowym materiałem zagrażała zniszczeniu.

Wznawiono myśl dawną w Polsce Ludowej. 15 maja 1945 roku Krajowa Rada Narodowa postanowiła, że ukaże się „Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza, aby dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym“.

W tej chwili, u progu związanego ze stuleciem zgonu poety Roku Mickiewiczowskiego, w lat przeszło dziesięć po uchwale przytoczonej, dobiega końca jako pion pracy ogromnej szesnastotomowej wydanie całkowite, przynoszące szereg nowych zdobyczy, odpowiadające wymaganiom naukowym, podane w pięknej, szlachetnej szacie zewnętrznej, rozpowszechnić dające się łatwo dzięki cenie przystępnej, a drukowane w nakładach, których cyfry nie tak dawno jeszcze wydawały się baśniową fikcją. Pierwsza seria czterotomowa, obejmująca utwory poetyckie w trzech nakładach, wynoszących ogółem 125000 egzemplarzy rozeszła się tak szybko, że musiano ją raz jeszcze wydać w edycji fototypicznej. Zmniejszone nakłady dalszych tomów okazują się zbyt małe, rozchwytywane natychmiastowo tomy prozy, wykładów, korespondencji — i koniecznością jest już dzisiaj nowe przedsięwzięcie nazwane wydaniem jubileuszowym.

Kierował ogromną pracą jako redaktor niestrudzony o imponującej bystrości i skrupulatności filologicznej, zapobiegliwości i gorliwości Leon Płoszewski. Współdziałał z nim Komitet Redakcyjny, nie małą sumę wysiłków poświęcający każdemu tomowi, wspomagany nadto przez naukowców spoza swego grona.

Niewątpliwie przeprowadzenie stałe takiej podwójności tekstów odpowiadałoby ściśle postanowieniu, by „dostarczyć tekstów autentycznych“, i podniosłoby wartość — ale powiększyłoby to rozmiary o kilka tomów i odrzuciłoby szerokie masy nabywców,

Pomimo przyświecającej całemu wydaniu świadomości postulatów naukowych, pomimo osiągnięcia nowych naukowych wyników — wzorowa edycja popularna, edycja dla szerokiego kręgu ogółu czytającego, nie dla fachowców. Intencja ta spowodowała przede wszystkim zrezygnowanie z odmian tekstu i pomieszczenie pism francuskich z przekładami paryskimi i z Trybuna Ludów na czele, w przekładzie polskim. Nawet w obrębie utworów poetyckich Konfederaci barscy i Jakub Jasiński jawią się jedynie w tłumaczeniu. Przelamano te zasady w tomach listów: tu przekład następuje po tekście obcojęzycznym.

Nawet w obrębie utworów poetyckich Konfederaci barscy i Jakub Jasiński jawią się jedynie w tłumaczeniu. Przelamano te zasady w tomach listów: tu przekład następuje po tekście obcojęzycznym.

Nawet w obrębie utworów poetyckich Konfederaci barscy i Jakub Jasiński jawią się jedynie w tłumaczeniu. Przelamano te zasady w tomach listów: tu przekład następuje po tekście obcojęzycznym.

Względ na czytelników, chęć uniknięcia wszystkiego co by obcością mogło trącić i stworzyć odległość między czytającym a tekstem, każe też — zgodnie z typem edycji popularnej — modernizować pisownię i nawet pewne cechy wymowy i odmiany, chociaż niektóre z nich zachowano (np. jedną godzinę). Ale według obowiązującej dziś pisowni ujednolicono końcówki -ym, -im, -ymi, -imi, o ile nie znajdują się one w wyrazach zrymowanych. Ze cofnięto się przed puszczeniem rymu czy rymu, to oczywiście słasne. Z tego jednak iż inaczej potraktowane są słowa rymujące, inaczej wyrazy wewnętrzne wiersza, wynika rzecz niepożądana, która powinna była powstrzymać dostosowywanie się do normy dzisiejszej: oto czytelnik niefachowy może ulec złudzeniu, że poeta miał dla rymów język specjalny, że ułatwieniu rymów służyła jakaś „licentia poetica“, skoro np. w *Farysie* takie się znalazły oboczności form różnych: wiatry lubieżniemi, oczyma złotemi, pierściami całemi, oczyma całemi, ramionym całemi (może to powtarzanie „całemi“ wbiła się w pamięć a w razie głośnej lektury czy recytacji brzmi silnie swym e akcentowanym) i jednocześnie w środku wiersza: „w suchym morzu“ — w *Panu Tadeuszu* zaś: „schyla się do ziemi i nurkuje pomiędzy trawami gęstemi“, ale Hrabia i Ryków „prawym grozą okiem“ i pajak muchy obejmuje i dusi „długimi nogi“.

Najwyraźniej wreszcie przejawiał się typ edycji popularnej w Komentarzu. Poza krótkimi uwagami o tekstach i ich źródłach rzeczowe objaśnienia, dawane z ekonomią skrajną, licząc się z tym poziomem wykształcenia, jakiego udziela szkoła podstawowa (wyjątek stanowić będzie tylko komentarz *Trybuny Ludów*).

Spośród czterech tomów początkowych, zawierających dzieła poetyckie poprzedzone piękną przedmową Juliana Przybosa do całej edycji, najwięcej zdobyłczy nowych przynosi i nasuwa też największe problemy tom I — Wiersze w opracowaniu Wacława Borowego i Leona Płoszewskiego. Wchłonięto na wyniki pracy krytycznej Borowego nad przygotowaniem tomu poezji drobniejszych dla sejmowego wydania.

Tekst szeregu utworów teraz dopiero osiągnął pełną poprawność. Zespoili się w należyty sposób czytelnicy — czasem w odgadywaniu bystrym — autografów nieczytelnych podjęty przed trzydziestu z górą laty trud Stanisława Pigońa i nowy trud Borowego. Naukowo opracowano teksty pierwszej edycji krytycznej, lwowskiej edycji Tow. Literackiego im. Mickiewicza, które wydawały się pół wieku temu definitywnie ustalone, a doznały rewolucyjnej po prostu modyfikacji, gdy w Przeglądzie Warszawskim z r. 1922 Stanisław Pigoń przedstawił, jakiego Mickiewicza znał. Niektóre utwory okazały się znieszczone skutkiem błędnego odcyfrowania zespołu literki w rękopisach poety i Pigońskie wydanie z r. 1929 dało w wielu przypadkach tekst nowy, czasem bardzo różny. Umięł się przed laty na pamięć brzmiące tajemniczością wyznaczenie: Kochanek duchów, ileż was spotkałem ileż to oczu jak gwiazd pisałem ialeo żegnam was, żegnam o duchy młodzieńcze.

Tymczasem — emfaze ową dało utworowi mylnie odczytanie, Na-

prawdę Mickiewicz wyraził się o wiele prościej, zupełnie po ziemsku:

Kochanek, druhów, ileż was spotkałem...
Żegnam was, żegnam, o duchy młodzieńcze.

Tak się zniżyły wiersze dzięki Stanisławowi Pigońowi. A oto dwustopniowa ewolucja, której doznała humoreska „*Golono, strzyżono*“.

Kłótnia małżonka mazurska niegdyś tak argumentowała:

A wąsiki ekonoma
Co mu wiszą jak u sosny
A blyszcza jak namaszczone,
Sąc golono czy strzyżono?..

Dopiero Pigoń odczytał czy odgadł, co na temat wąsików powie- działa do rzeczy i do rymu niewiasta uparta:

A wąsiki ekonoma
Co mu wiszą jak u sosny
Som to sum, sumiastym wąsom dający ich epitet.

Alle pozostały jeszcze w autografie podkreślone linijki, opuszczone dotychczas z racji niemożliwości odczytania. Wyjaśniły one tajemnicę swą Borowemu — i dialog ucieśzny a niebezpieczny wzbogacił się o pięć wierszy dawniej nieznanych:

„Przeleż dobrze, suko miła
Żeś tu jest, choć ogolona“
„I jak rada, że wróciła —
Odpowiada na to żona —
Choć wróciła ostrzyżona“.

I jeszcze inne się znalazły poprawki w tej historii.

Wśród Zdań i uwag Pigoń odcyfrował taki dwuwiersz:

Gdzie szkoła sceniczników, portów,
Tam, gdzie orla i mrówek, śpiewaków?
I ptaków.

Borowy osiągnął tekst jeszcze lepiej:

Gdzie szkoła sceniczników, wodzów
Tam gdzie szkoła (dla) mrówek, śpiewaków?
I ptaków.

Odkryty przez Józefa Kallenbacha aforyzm polityczny zapowiadający, że kiedyś „Wzmacniając cię, ciemni, mali ludzie“ rozszerzył się o początkowy dwuwiersz dzięki Pigońowi, a Borowy dopiero dał całosci sens właściwy, gdy zamiast:

„Gęby na lud krzyczące — sam lud w końcu...“

— wydrukował:

„Gęby za lud krzyczące — sam lud w końcu znużony“.

Niekiedy nie mozolne odczytanie autografu, ale czy to dokładne uwzględnienie wymagań sensu i rymu, czy też należyte skorzystanie z tekstu pomocniczego doprowadziło do poprawki. Wiecej kopia bajek napisana przez Aleksandra Chodźkę pouczała, że zajączka wędług jego skargi gania „pies, lis, konik, kania i wrona“, nie „pies, lis, krul“, inny rękopis w wierszku „Kiedy szlesz bilet bogatym“ usunął bezsensowne określenie dwuwiersza o bilecie stosownym: „Fir-cyka obdarz psotkatym, A różo-

STEFAN KOZICKI

Droge młodym!

Rozpędziła się, ganiła nie raz to ostrzeż dyskusja o młodzi. Symptomatycznym i ważnym jej elementem był też niedawny 11 Zjazd ZMP. W dyskusji zjazdowej — jak zwykle w dyskusji bywa — padły najróżniejsze głosy: ciekawe i nudne, płomienne i spokojne, wyważone i niedoważone.

W drugim dniu dyskusji zjazdowej napłynęła na salę obrad aura ospałości, godzina słusznej i rzeczowej — nudy. Parę kolejnych wy- stąpię niezbyt sprzyjających wy- wołaniu tzw. f a l e n t u z j a z m u delegacji pokropili skąpym deszczkiem a raczej „kapuśniacz- kiem“ oklasków. Pierwsza regular- na b u r z a o k l a s k ó w z e r- wała się dopiero wtedy, gdy jeden z dyskutantów zaproponował utwo- rzenie przy ZMP bojowego młodzie- żowego pisma artystyczno-literac- kiego.

Wydaje mi się, że fakt ten daje dużo do myślenia. Przyjmując bo- wiem nawet złośliwą poprawkę od- liczającą od ogólnej sumy oklasków oklaski młodych grafomanów (jak wiadomo, pisanie erotyków pod pseudonimem jest we wczesnym zetempowskim wieku zjawiskiem powszechnym) — fakt, iż parę y- sięcy delegatów dalekich od sporów i ambicjęk literackiego partykula- rza (choć na pewno bliskich lita- ratuzy) oklaskiwało projekt utwo- rzenia młodzieżowego pisma arty- styczno-kulturalnego świadczy: pro- jekt jego powstania nie jest w y- m y s l e m wyidealizowanym z o- parów czułej kawy w klubie na Krakowskim Przedmieściu przez kil- ku zdolnych, zapalnych do idei (lub objęcia stanowisk redaktors- kich) młodych literatów czy pla- styków, lecz wypływa z obiektyw- nie istniejącej społecznej potrzeby. Nie sądzmy więc, że ktoś jeden gdzieś sobie coś wymyślił i teraz reklamuje ten towar przed m a s- s a m i m ł o d z i e ż y. To na- stroje i zmiany zasile w procesie absorbowania przez młodzież twór- czości artystycznej były przyczyną, że myśl taka mogła powstać. Nie sądzmy też, że sam i n t e r e s m ł o d y c h t w ó r c ó w za stworzeniem takiego pisma przemawia. Przemawia za tym znacznie więcej przy- czyn. Czy np. „Nowa Kultura“ lub „Przegląd Kulturalny“ są przez młodzież czytane? Myślę, że „No- wa Kultura“ mogło młodzieży szkolnej obrzydzić uznawanie jej przez wielu nauczycieli — polonistów za obowiązkową lekturę szkolną. Podobnie z młodą inteligencją tech- niczną. Zdradził się przede m ną m ł o d y i n ż y n i e r, że pierwszy i o s t a t n i n u m e r „Nowej Kultury“ jakiś trafił do jego rąk — wy- pełniał nieomal w całości d o ś ś p e c j a l n y (to termin owego inżyniera) artykuł Ważyka o ro- mantyzmie. Młodzież nie kojarzy uidać tego romantyzmu, który sa- ma czuje — z romantyzmem w hi- storii literatury zawartym, roman- tyzmem, na jakim tak łatwo kry- tycy literaccy dobijają do spoko- jnych przystani nagród państwowych. Nie będę więc chyba daleki od prawdy twierdząc: Istniejące dotąd pisma kulturalno-literackie nie oddają (i nie mogą oddawać, gdyż inne są ich zadania i potrze- by), nie odpowiadają (i nie muszą odpowiadać) nastrojom panującym wśród c a ł e j d z i s i e j s z e j m ł o- dzieży, wśród m ł o d y c h t w ó r c ó w posługujących się zarówno piórem i piędziem jak rajsbretem, cyrkiem, obrabiarką.

Bymajmniej nie z potrzeby „wy- pisania się“, znaleźnien „trybuny“ czy zaspokoienia potrzeb „warsztato- wych dyskusji“ powstały w prze- szłości takie pisma kulturalno-lite- rackie młodzieży jak kasetemowy „Naprzelaj“, czy wileńskie „Po- prostu“ (w okresie międzywojen- nym), a po wojnie „Pokolenie“ i „Wznowienie „Poprostu“ (nie w obec- nej, lecz w swojej pierwotnej for- mie). Pisma te powstały z wąskich przyczyn polityczno-społecznych. I dziś, patrząc na nie z perspektywy czasu widać, że spełniły one posta- wione sobie zadania. Spełniły je podwójnie. Wypełniając swą funk- cję społeczną pisma te zarupowa- ły jednocześnie wokół siebie gru- py młodych twórców, takich k t ó- r y m i dzisiaj polska literatura współczesna czy w ogóle polska sztuka może się pochwalić. Wielu z nich przez te właśnie pisma zbli- żyło się do Partii. Powojenne „Po- kolenie“ i „Poprostu“ rozbijając kompleksy AK-owskie zbliżyły do ZWM-u, który im patronował, ta- kich pisarzy jak Borowski, Bratny, Braun, Konwicki, Zaleski i dalsi ciekawe debiuty Czeski, Woroszy- skiog i innych.

Styszałem niedawno w ZG ZMP

(Dokończenie na str. 2)

(Dalszy ciąg na str. 2)

(Dokończenie na str. 2)



ADAM MICKIEWICZ wg rysunku Eugeniusza Delacroix

WYDANIE NARODOWE DZIEŁ MICKIEWICZA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wym mądrą żonę" i zastąpił ostatnie słowa przez „modną żonę“.

Trzydzieści kilka utworów przekształcił Wacław Borowy, a nadto bajkom użyczyć fizjonomii właściwej, dając im schematy graficzne uplastyczniające ich wersyfikacyjną architekturę.

Ale i to wydanie jeszcze żąda pewnych emendacji: więc poza wyjątkowymi kilkoma omyłkami druku ważna jest zwłaszcza potrzeba przywrócenia jednego słowa właściwego w „Swiętym“: Począwszy od r. 1838 wszystkie edycje drukują, że młodzieniec kładł się przy świętym księżcu blasku, gdy tymczasem według pierwodruku (tj. tomiku z r. 1822) i według wydania petersburskiego z r. 1829 chłopiec zachowując rytuał tajemniczych obrzędów nocnych kładł się przy świętym księżcu blasku!).

Czy oprócz tych drobniaków można w świetnym opracowaniu tomu I znaleźć jakieś usterek?

Usterka jest wykluczenie ze zbioru poezji dwu utworów niewątpliwie będących małymi poematami. Są to Słowa Chrystusa i Słowa Najświętszej Panny — przeniesiono je do tomów prozy ze względu na brak formy wierszowej (Stanisław Piłgosiński usunął je w tomie I swej edycji z r. 1929, używszy tytułu „Poezje rozmaite“, nie jak w wydaniu narodowym „Wiersze“). Druga usterka ważna, usprawiedliwiona jednak kilkudziesięcioletnią tradycją, to pomieszczenie wiersza pt. „Mazur“. Otóż wiersza tego nie napisał Mickiewicz, ułożył go, nie zawsze udanie, jakiś naśladowca Poloneza z Pana Tadeusza.

Układ tomu polega na zasadzie wprowadzonej przed trzydziestą laty w wydaniu Dzieł wszystkich Słowackiego tj. na rozróżnieniu utworów ogłoszonych za życia autora i utworów po śmierci jego wydobytých z puszczyny rękopiśmiennej. Podobnie też jak w edycji wspomnianej niekiedy pozostają zgrupowania pochodzące od samego twórcy (Ballady i romanse i na równi z nimi Wiersze różne wileńskiego zbioru poezji oraz oba cykliczne sonety). Poza tym porządek jest chronologiczny. Wymaga on modyfikacji, gdy idzie o umiejscowienie Mędrców i Rozumu i wiary. Wyznaczono im miejsce zgodnie z dawnym poglądem, że należą one do „liryki rzymskiej“. Tymczasem wiadomo już dzisiaj, że napisane zostały w r. 1832 w Dreźnie.

Kilkukartkowe Uzupełnienie obejmuje Wiersze i improwizacje przypisywane poecie. Z nadmiernym krytycyzmem przesunięto do tego działu trzy utwory, które śmiało można zaliczyć do tekstów bezwzględnie autentycznych: Do mojej przyjaciółki, Rozeszliśmy się wczoraj, Gdzie dawniej żrenicami odwiecone twemi.

Bardzo słusznie wszystkie teksty znotowanych improwizacji uznano za nieautentyczne.

I uzupełnienia i znane przezwania tylko z kopii młodzieńcze wiersze filomatycznie otrzymały typograficzne cechy drugorzędności: wydrukowano je bez interlinii.

Tom drugi zawiera Powieści poetyckie: Grażynę, Konrada Wallenroda, Głaura — i jako dział utworów z puszczyny rękopiśmiennej — młodzieńcze próby epickie (druk bez interlinii znowu obniżył ich pozycję hierarchiczną). Do druku przystosował je Leon Płoszewski, korzystając z tekstów przez Stanisława Piłgosińskiego opracowanych dla wydania sejmowego, objaśnienia wartościowe napisał Konrad Górski. Wobec przeznaczenia dla kół szerokiach należało z przekładu Darczanki (Dziwicy orleńskie) Voltair'a usunąć (zaznaczyć) oczywiście to opuszczenie) opowiadanie mnicha — utwory i ustępy o takim charakterze eliminuje się często z wydań zbiorowych.

Zagadnień specjalnych tom drugi nie nasuwa — poza sprawą pewnych drobnych modyfikacji, które

należałoby wprowadzić w tekstach).

Tom trzeci, opracowany przez Stanisława Piłgosińskiego ma w układzie swym coś niespodziewanego dla tych, którzy się zżyli z tradycyjnym uszeregowaniem poezji Mickiewicza: **Dziady**, wyodrębniane stale na równi z epopeją litewską, weszły w skład grupy o tytule **Utwory dramatyczne**. Jest to niewątpliwie grupa naturalna i przy rozdziału dzieł poetyckich między cztery tomy niemal konieczna, na uznanie przy tym zasługujące, że obok polskiego fragmentarycznego dramatu o Jasińskim i dwu dramatów francuskich, tutaj właśnie, nie między drobniejszymi wierszami, znalazły się przekłady **Don Carlosa i Romea i Julii**.

Zagadnienia ważne nasuwa w tym tomie sprawa układu Dziadów części pierwszej. Po wydaniu paryskim z r. 1860/1, które utworów potraktowało jako „fragmenty“ i po uporządkowaniu odmiennym przez Józefa Kallenbacha, które zapanowało we wszystkich edycjach począwszy od tomu IV Dzieł wydanych przez Tow. Literackie im. Mickiewicza — nastąpiła na podstawie nowego zbadania autografu i na podstawie zanalizowania treści próba ustalenia układu w sposób naukowy: wydanie moje z r. 1934 (w Pamiętniku Literackim i w osobnej obitce). Główną innowacją tego wydania, przesunięcie przemowy Starca „Pójdź sam...“ zakończone błogosławieństwem „Niech umrze młody“ na końcu dialogu Starca i Dziecięcia, prof. Piłgosiński uzasadniał to stwierdzeniem, że „porządek myślowy przemówienia wymaga koniecznej tej zmiany“.

Ale inne również zmiany są uzasadnione, jakkolwiek najważniejsze z punktu widzenia logiki scen. Dotyczy to mianowicie miejsca przemowy młodzieńców „Między kolebką a grobem“.

Autograf Dziadów części pierwszej jest dwuwarstwowy, czego sobie dawniej nie uświadomiano. Drugą warstwę stanowią cztery dodatki, z tych ostatni zawierający zwrotki Młodzieży stanowią uzupełnienie sceny pochodzą na uroczystość Dziadów. Kallenbach umieścił go na końcu sceny, przed rozmową Starca i Dziecięcia — tymczasem miejsce właściwe jest zaraz po refrenie Chóru: „Póki ciemno, głucho wszędzie, Spieszymy się w tajemnym obrzędzie. Jest to bowiem pierwsze wystąpienie Młodzieży, która się przedstawia widzom i słuchaczom i zapowiada: Będziemy idących witać, i powracających pytać. Tej zapowiedzi spełniają słowa zwrócone do idących na cmentarz, do Dziewczyny (raczej kobiety, wdowy), do Starca. Dodane więc w drugiej warstwie autografu zwrotki wydawać powinny apoteozę „do niewiasty młodej“, znaleźć się między początkowym dwugłosem Guślarza i Chóru (w. 75—94), a płytko optymistycznymi poczuciami pod adresem smutnych. Pierwszy zaś czterowiersz: „Tu guślarz kazał młodzieży Stanać“ uważać trzeba nie za słowa Chóru do Młodzieży; zdaje się, mówiący wymienia przed wierszem „Między kolebką i grobem“, lecz za słowa Chóru do Młodzieży, zdaje się, iż poeta przez omyłkę opuścił „do“ i stąd napis „Chór Młodzieży“, dziwny wobec tego, że tuż po tej przemowie Chóru odzywa się właśnie Młodzież.

Spółród innych kwestyj związanych z tomem III, ważna jest jeszcze sprawa przekładu dramatów francuskich. Przekład Artura Górskiego stoi na wysokim poziomie, posiada wyrazistość i stylowość słowa, technicznie często poezją prawdziwą, ma jednak również sporo niedokładności. Raz nawet zdarzyło się nieporozumienie: Doktor-spieg mówi do Jenerała¹⁾ o niepokojących oczach Wojewody: „Najciekawsza to para oczu jaką kiedykolwiek zanotowałem w moich rysopisach, oczy stokrót niebezpieczniejsze od oczu fanatyka, czyż o zapalają się na chwilę, a potem stają się z powrotem mętne i przyćmione“. Następne zdanie sprzeciwia się temu, co powiedziane zostało poprzednio w przekładzie, Doktor bowiem tak dalej mówi: „Wzrok Wojewody nie zmienia nigdy wyrazu ani kierunku, jest to wzrok zawodowego gracza nie tracącego nigdy z

oczu swojej stawki“. Tej sprzeczności nie ma w oryginale francuskim: zdanie Doktora: „oczy co zapalają się“ — charakteryzuje nie oczy Wojewody, lecz zupełnie od nich różnego fanatyka: *ceux d'un fanatique, lesquels s'enflamment par moment et puis deviennent troubles et ternes*. Doktor więc naprawdę co innego mówi, nie to, co mu przekład każe powiedzieć: „Oczy stokrót niebezpieczniejsze od oczu fanatyka, zapalających się na chwilę, by potem zgaść się i zamgląć“.

Nie samego przekładu Górskiego, ale w ogóle przekładów dramatu o Konfederatach dotyczy kwestia nomenklatury geograficznej. Góry, które poeta tak nadmiernie przybliżył do Krakowa, w oryginale francuskim (zachowanym w kopii Bohdana Jasińskiego) zwą się Ciapacki, Krepak. W myśl naszych dzisiejszych określeń nazwano je w tłumaczeniu Tatrami.

Ażeby rozstrzygnąć, czy wolno i czy należy Ciapack zastąpić Tatrami, trzeba postawić pytanie: czy można z należytym prawdopodobieństwem ustalić, jakiej nazwy byłby użył Mickiewicz, gdyby Konfederatów pisał po polsku, czy istnieją z czasu tworzenia dramatu polskie wypowiedzi jego, które dotyczą Tatrat?

Otóż istnieją one: poeta dał opis Polski w Pierwszych wiekach historii polskiej. W opisie tym czytamy: „nieдалеко зроділ Вагу витрися Попрад і збіга Карпатми ку строніе półночної... Tu na wysokich Karpatach, w okolicy Krepaku (późniejszego hrabstwo Spiskie) Lechowcie... znaleźli gniazdo orłów... Stąd rozszerzali się po obu stronach Krepaku... Z Krepaku Lechowice wypuszczali się do doliny brzegami Popradu obunajędy, Wisłoki i Wisłoka“. Krytyczna ocena opisu tego nie ma znaczenia dla kwestii nazw. Chodzi tylko o trzy nazwy gór zastosowane tu przez Mickiewicza: Karpaty, Wysokie Karpaty, Krepak. Nie pojawia się nigdzie nazwa Tatrat, jakkolwiek użył jej poeta (niezbity szczęśliwie) w w. 368 **Grażyni**. Z dramatu zaś francuskiego wynika, że Krepakiem nie jeden tylko szczyt nazywał (jak w **Pani Twardowskiej**: „wysoko pod szczyt Krepaku“), ale całe Tatry. Nie wolno więc poprawiać Mickiewicza — i mimo że to raził będzie czytelników, Tatry w **Konfederatach** winny być nazywane Krepakiem.

Juliusz Kleiner

(Dokończenie w następnym numerze)

ANATOL STERN
BALLADA

Była burza. I przesza. I było powstanie.
Czemuż go, jak skrzydłem, nie poderwał pieśnią?
Dla kogoż tu pozostał?... Dla nich? Może dla niej?...
Śpiewają koledy. Niech nie śpią niech nie śpią!

Miesiące świeci, jeździć leci
po zaroślach i po krzaczach...

Spójrz! Mknij ktoś za oknem, gdy patrzeć na cienie.
Nie słyhać tętentu, bo pędzi zaspami.
Noc śmieje się cicho: „Przepiękny młodzieniec...“
Noc patrzy mu w oczy czułych gwiazd oczami.

Miesiące świeci, a pieśń leci
po zaroślach i po krzaczach...

Nie, to nie noc patrzy. To patrzy Konstancja.
Niech zniknie! On musi teraz gadać z duchy.
Lecz tylko noc chmurnie twarzą doń się zwraca.
I jeźdźca dzikiego słyhać galop głuchy.

Miesiące świeci, martwiec leci
po zaroślach i po krzaczach...

A oni weń wierzą... Jak strasznie, jak smutno.
O, bracie, o, mili! Pokój, pokój z wami!
I nagle twarz zbladła, zbieła jak płótno:
„To on, on tam pędzi!“ I zalał się łzami.

Miesiące świeci, miesiąc leci
po zaroślach i po krzaczach.

W roku 1831 Adam Mickiewicz, nie zdolawszy przedostać się do Kongresówki, gdzie pragnął wziąć udział w powstaniu, pozostał przez kilka miesięcy w Wielkopolsce. Święta Bożego Narodzenia obchodził w majątku Łukowie.

Pamiętnik z za prezydialnego stołu

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

młodzieży, można było w czterech wypadkach na pięć przeprowadzić następujące rozmowy:

— Kto jest u was delegatem na konferencję powiatową?

Chwila namysłu:

— Iksński...

— A po coście go wybrali?

— Podobno ma być w Szczytnie, konferencja. Delegatów będą na niej wybierać, czy jak...

Sytuacja była kiepska. Doszliśmy w Zarządzie Powiatowym wspólnie do wniosku, że przyczyną tego jest zła, niewłaściwa atmosfera, w jakiej przygotowywano konferencję, i niewłaściwe metody, jakimi podawano młodzieży wiadomości o II Zjeździe. Praca była płytka, pospieszna, nie młodzieźowa. Podejmowano zobowiązania? Owszem, podejmowano, podobnie jak trzy razy do roku z okazji innych akcji.

W ciągu następnego dnia zapewniliśmy sobie stałe wyjazdy w teren 8—10 zespołów artystycznych. Ustaliśmy plan wyjazdów i zapewniliśmy samochody do przewiezienia zespołów. Postanowiliśmy, że ani jedno z nowych zebrań wyborczych nie odbędzie się bez występu zespołu. Sporządziliśmy listę ludzi, którzy mieli wyjechać w teren z odczytami. Staraliśmy się ułożyć ją tak, by odczyty były możliwie najciekawsze. Ustaliśmy tematy — głównie o historii tej ziemi. Przecież to Mazury, a młodzież na zebraniach często się domagała, by ZMP mówił jej o przeszłości powiatu. Zarząd Powiatowy powołał dalej uchwałę o zorganizowaniu w każdej gminie młodzieżowych wieców, o organizowaniu wieczerzek do spółdzielni produkcyjnych, wzajemnych odwiedzin młodzieży itd. Postanowiono poruszyć nauczycieli i redaktorów gazetki ściennej, by teren powiatu pokrył się siecią przedziałowych gazetek i blyskawic. No i oczywiście miano szeroko wykorzystywać w dyskusji terenowe programy Frontu Narodowego, by dokładnie uświadomić młodzieży, ile już osiągnięto i jak wiele pozostaje jeszcze do zrobienia. Do pracy postanowiono włączyć każdego kto ma głowę na karku i dobre chęci — słowem t. zw. „szeroki aktywny“.

Po przedyskutowaniu tego wszystkiego zebrałem notatki, odebrałem tekę z hotelu i położyłem na dworzec. Musiałem wrócić na tydzień czy dwa do Warszawy.

„PODSUMOWAĆ GO...“

Wkrótce wróciłem znów do Szczytna. Przewodniczący oznajmił mi, że dokonano ponownych wyborów delegatów. Tym razem frekwencja młodzieży była o wiele lepsza. Potwierdziły to rozmowy z aktywistami, a i wśród młodzieży, z którą rozmawiałem w następnych dniach, można było zauważyć lepszą niż przedtem znajomość spraw dotyczących II Zjazdu.

Ale gdy poprosiłem przewodniczącego o poinformowanie mnie co zostało wykonane z naszego pięknego planu młodzieżowej pracy politycznej — propagandowej — w gabinecie zalegała dysza. Zaa drzwi dochodziły głosy kilku rozmawiających w sekretariacie aktywistów i instruktora organizacyjnego, który domagał się od kogoś jakiejś ankiety.

— Wiedziałem, towarzyszu, że mnie podsumujecie — zaczął przewodniczący. — Nie zrobiliśmy właściwie nic. Parę wieców w gminach... A poza tym nic... Ani występów artystycznych, ani odczytów, ani gazetki, ani wycieczek... Wiedziałem, towarzyszu, że mnie podsumujecie. Każdy mnie podsumuje!... A co ja mam robić? Co dzień konferencje, narady, odprawy. Egzekutywy w Komitecie Powiatowym, posiedzenia Prezydium PRN, szkolenie partyjne, odprawy w ZW, posiedzenia Frontu Narodowego. Rady Narodowe — towarzyszu — rozumiecie? Spotkania z wyborcami. Odprawy z instruktorami, Prezydium. Zawiadanie nowych członków ZMP. Ledwo skończyliśmy ze skupem zboża. Kiedy mam się zająć pracą? Nie wyszło, towarzyszu...

Zwróciłem mu uwagę, że przecież nie musi wszystkiego robić sam.

Powinien sobie dobrać aktywistów, znaleźć ich przecież w powiecie.

— Kiepsko u nas wygląda praca z ludźmi — przyznał. — Nie mam czasu z nimi gadać.

Przyjrzałem mu się uważnie. Nie, zdecydowanie nie tak wygląda zdrowy i wypoczęty człowiek. Przypomniałem sobie, jak to w czasie poprzedniego pobytu siedziałem u niego wieczorem w mieszkaniu, Przewodniczący mieszka w lokalu ZP, w nieurządzonym pokoiku. Jeden stół, dwa łóżka (w pokoju mieszka także instruktor), mała szafka nocna, a na niej kilka książek. Widać — od dawna nieruszanych. Na krześle parę brudnych koszul. Wiem skądinąd, że przewodniczący rzadko ma czas, by zająć się swoją bielizną. Jeśli ma pieniądze — kupuje nową, taniośćką koszulę. Jeśli nie ma — chodzi w brudnej.

A teraz jeszcze to słowo: „podsumować“. Skąd się ono wzięło? Pewno powstało w czasie tych wizyt z województwa czy Warszawy, kiedy przyjeżdżający aktywiści „ustawiają“ przewodniczącego, krytykują, instruują go i wyjeżdżają następnego dnia.

Nie podsumowałem go. Poczułem się bardzo kiepskim działaczem.

Pomimo „zawalenia się“ planu kampanii propagandowej związanej z konferencją i II Zjazdem nie chcieliśmy dać za wygraną. Zorganizowaliśmy wiece w każdej gminie. Postanowiliśmy udekorować miasto. Wieczorem w przeddzień konferencji miał się odbyć wielki wiec młodzieży ze Szczytna z udziałem delegatów. Omówiliśmy tę sprawę w Zarządzie Powiatowym. Kiedy doszło do programu wiecu, wynikła kontrowersja. Oto jej przebieg:

J a: Po wlecu zorganizujemy zabawę, prawda?

J e d e n z a k t y w i s t a w: To byłoby dobre. Młodzież by się zabawiła, nastroj byłby lepszy.

D r u g i a k t y w i s t a: To byłoby naprawdę dobre. Tylko jedno mnie niepokoi. Kiedy się delegaci rozbawia, to później nie będą chcieli kończyć, pójdą na inne zabawy, a potem będą spali na konferencji.

P i e r w s z y a k t y w i s t a: Ale jeśli nie zorganizujemy, to delegaci i tak pójdą na zabawy. Przecież to sobota. A wtedy nie będziemy wiedzieli co się z nimi dzieje.

D r u g i a k t y w i s t a: No to ja mam pomysł. Zawiesimy w sobotę wszystkie zabawy. Nie będzie gdzie pójść.

J a: I n a k a ż e m y w s z y s t k i m m i e s z k a n c o m S z c z y t n a ś p i e w a ć p i e ś n i z e t e m p o w s k i e, d o b r z e?

Zaprotowali. Stało na tym, że po wiecu odbędzie się potańcówka, podobnie jak i po konferencji.

LAMIEMY DEMOKRACJĘ

Zdarzyło się to już w czasie konferencji. Miano właśnie zgłaszać kandydatów na Zjazd. Rada delegatów zgłosiła już dwa nazwiska. Padło pytanie: kto ma inne kandydatury? Wtem w rogu sali podniosła się ręka. Wiedzieliśmy kto to jest i po co podnosi rękę. Był to delegat z jednego z powiatowych urzędów, który już przed rozpoczęciem konferencji zapowiedział, że gdy rada delegatów zgłosi swe kandydatury, onłoży wniosek o zamknięcie listy. Nie zdążyliśmy go wtedy przekonać, że nie powinien tego robić. Przyzwyczajai się na wielkie zebraniach i konferencjach do takiego porządku: prezydium zgłasza kandydatów, ktoś proponuje zamknięcie listy, wszyscy głosują. Formalnościom stało się zadość.

Szykowałem się właśnie do dania mu odpowiedzi, gdy ujrzałem kątem oka dziwne manewry przewodniczącej konferencji. Nie udzielała mu głosu udając, że nie sposób trzeźwa i gorączkowo szukała wzrokiem jakiejś innej ręki, która by wybrała ją z kłopotu. Ten, kto ją wyciągnął otrzymał natychmiast głos.

W ten sposób zdeftaliśmy demokrację wewnątrzorganizacyjną na

(Dokończenie na str. 6)

Drogę młodym!

(Dokończenie ze str. 1)

skargi, że młodzi literaci, plastycy, muzycy chadzają jak koty własnymi drogami a na Mokotowską pod nr 3 ani zajrzą. Musznie martwić się Jerzy Broszkiewicz („Nowa Kultura“ nr 5) rutyną, przedwczesną profesjonalizacją, zamknięciem się w kokonie własnych spraw u członków kół młodych ZLP. Coraz częściej padają też pod tym adresem epitety: cynizm, dekadencja — opatrzone wykrywkami nabrzmiałymi oburzeniem.

Skąd te skargi? Przecież bogiem a prawdą niezbyt wiele mogło dotąd ciężkich młodych twórców ze Związkiem Młodzieży Polskiej, skoro ten ostatni też profesjonalizował się na swój sposób, zamknął się w papierowym kokonie masowo powielanych referatów politycznych.

Jest — jak to się mówi — o d w i l ż. Można nawet krytykować ZMP. Wiec, na prawie wolnej krytyki, pragnąłbym tutaj dowiedzieć się, nawet najpóźniejszą odwilż nie spowoduje powodzi, nie zerwie związków kultury z polityką. Ze nawet

— jak w omawianym wypadku „na odcinku młodzieży“ — może wpłynąć na nawigację ich o d n o w a a po smutnej, zbyt długiej przerwie. Ze związku między nowymi metodami pracy ZMP, nową polityką młodzieżową a nową, młodą literaturą i sztuką mogą stać się wreszcie — w ł a ś n i e z a p o s r e d n i c t w e m m ł o d z i e ż o w e g o p i s m a a r t y s t y c z n o - l i t e r a c k i e g o — szersze i trwałe. Szersze i trwałe — bo na zasadzie obopólnego, dobrze zrozumianego interesu oparte. Młodzi twórcy nie będą potrzebowali czekać na kilkumiesięcznych kolekcjach w publikacji swoich utworów, a ZMP nie będzie potrzebował łowić ich na przeróżne sposoby od akcji do akcji, od festiwalu do festiwalu.

Na razie trudno przewidywać więcej. Wystarczy popatrzeć, wolać jak widać: Nowe młodzieżowe pismo artystyczno-literackie jest potrzebne. Jest bardzo potrzebne.

Jest potrzebne pismo pod patro-

natem ZMP, pismo, które otworzy przed młodymi środowiskami artystycznymi nowe perspektywy, które będzie miało możliwość stać się pismem b o j o w y m i n o w a t o r s k i m.

Nieobojętnie jest to ostatnie słowo. Dlaczego można na nie liczyć? Przecież dotychczasowa sytuacja w młodych środowiskach artystycznych przemawiała za czymś wręcz przeciwnym. Przecież zarzuca się młodym twórcom zbyt daleko idący epigonizm, schematyzm i grzeszne klasycyzowanie.

Odpowiem na te zarzuty pytaniem: Czyż te, tak krytykowane dziś powszechnie zjawiska nie brały się po części stąd, że młodzi m n i e l i ś się starać pisać „pod“ gusta panującą w redakcjach prowadzonych przez dojrzałych pisarzy i artystów, którzy — mówiąc warszawskim żargonem — l u b i e l i i w i d z i e ć, iż mają już swych naśladowców?

Za male miałbym jednak rację, aby pisać artykuł jedynie w celu p o p a r c i a słusznej inicjaty-

wy założenia przy ZMP nowego pisma artystyczno-literackiego. Piszę ten artykuł, aby podać nowy projekt, który może rozszerzy metody i środki prowadzące do umocnienia związków ZMP z młodymi środowiskami artystycznymi.

Jest młodzieżowe wydawnictwo „Iskry“. Będzie (może) młodzieżowe pismo. A gdyby przy tak godnym zestawie pomysłów jeszcze o przyznawaniu przez to pismo d o r o c z n y c h n a g r o d (w różnych dziedzinach twórczości artystycznej) dla młodych? Jeszcze jeden argument za potrzebą takiego pisma.

Mecenas ZMP nad młodymi środowiskami artystycznymi przez młode pismo kulturalno-literackie i jego doroczne nagrody dla młodych — nie tylko wzmocni autorytet ZMP wśród młodych twórców (i odwrotnie), ale może stać się również bodźcem do tego, aby młode soki zaczęły szybciej krążyć i mocniej zasilać stare drzewo polskiej kultury.

Sławomir Kozicki

UKAZAŁY SIĘ PIERWSZE ZESZYTY CZASOPISM

Myśl Filozoficzna-Ekonomiczna
Kwartalnik Historyczny
PRZEKŁADY

zawierające tłumaczenia z czasopism zagranicznych m. in. następujących artykułów:

Myśl Filozoficzna — PRZEKŁADY (Krytyka współczesnej filozofii burżuazyjnej), zes. 1, s. 208, 12 s.

Rogier Garaudy: Podstawowe kierunki współczesnej filozofii burżuazyjnej we Francji — E. Kolman: Dokąd prowadzi filozofia subiektywizmu — Charles Hainchelin: Pochodzenie religii (fragmenty) — J. K. Mielwil, A. N. Czarnszew: „Ironia“ historii — Otto Wenzler: „Superreligijonizm“ — ideologia imperializmu.

Ekonomiczna — PRZEKŁADY, zes. 1, s. 270, 12 s.

K. Ostrowitaniow: O przedmiocie ekonomii politycznej — H. Kozielek: Marksistowska-leninowska teoria dochodu narodowego — F. Olsanier: Uwagi na temat teorii reprodukcyj — J. Duerkin: Renkajency lista mitu o „społeczeństwie kierowniczym“ — R. Page Arnot: David Ricardo — R. L. Meek: Mathus — wczoraj i dziś.

Kwartalnik Historyczny — PRZEKŁADY (Zagadnienia nauki historycznej) zes. 1 s. 190, 12 s.

B. F. Porzniew: Przyczynki do charakterystyki sytuacji międzynarodowej podczas wojny wywołanej przez narodził się w latach 1648—1654 — A. M. Pankratow: O roli produkcji towarowej w okresie przejścia od feudalizmu do kapitalizmu — Fritz Klein: Z przygotowań wielkiej burżuazji niemieckiej do dyktatu faszystowskiej (1922—1932) — S. Hejsek: Legenda wilanowska wyrazem kołowego systemu w historii czechosłowackiej — Jean Chesneau: Jaki „Wschód“ badać należy?

K 006-1

ANDRZEJ WASILEWSKI

Sprawa ilustratorstwa czyli o bezmyślności

Wielkich diagnoz stawianych naszej literaturze przez ostatnich lata najmniej bodaj mówilo się o niedostatku myślenia. Dlatego może wielu pisarzy przypomina raczej buchalterów współczesności niż jej myślicieli: ich praca ogranicza się do prawidłowego księgowania, równoważenia strony „wimien” stroną „ma” i wyprowadzania dodatniego salda. Zapewne, jest to czynność podstawowa również i w literaturze. Jeżeli jednak buchalterowi nie wolno w sporządzanym bilansie dodawać pozycji „od siebie”, to pisarz obowiązany jest powoływać je do świadomości społecznej własnym myśleniem.

To wysokie powołanie pisarza nie dość było zrozumiane w minionym pięcioleciu. Nie jest bynajmniej powszechnie uświadomione i dziś, choć pierwsze jego oznaki są widoczne w powieściach i głosach publicystycznych ostatnich roku. Ale — na dobrą sprawę — i pisarze, i krytycy, i cała nasza opinia dopiero przebijają sobie drogę do głębszego poglądu na socjalistyczną literaturę.

Słaba strona współczesnej prozy, o której chcę pisać, nie jest przecież wyłącznie jej słabością. Dzieli ją ona z naszą filozofią, pedagogiką, psychologią, publicystyką społeczną, które bynajmniej nie współtworzą klimat myślowego opanowywania współczesności, nie wzbudzają ruchu umysłowego, który by rozłił nowe uogólnienia i wzbogacił światopogląd. Dla klimatu małych ambiwacji myślowych równie charakterystyczny jest brak powieści, dorzucających własne słowo do kapitału współczesnej świadomości — jak i publicystyki tego typu, co publicystyka Gorkiego, która tworząc np. pojęcia „automatycznych obywateli ZSRR”, „mieszczańskiego ciępiactwa”, „miodego człowieka XIX w.” uogólniała psychologiczno-historyczne doświadczenia swojego czasu i kraju.

Jakkolwiek wskazać można wspólną przyczynę słabej aktywności intelektualnej tych różnych rodzajów piśmiennictwa (wspólna jest, mówiąc przenośnie, owa buchalteryjna zasada „niedodawania od siebie”) — to ich możliwości i pola działania są jednak odmienne: znacznie trudniejsze i węższe dla publicystyki społeczno-filozoficznej, znacznie dostępniejsze i rozleglejsze dla literatury pięknej. Pozostawiam to stwierdzenie bez natychmiastowego dowodu, służąc mu pośrednio całym ciągiem dalszym.

W recenzjach i artykułach, w potocznym myśleniu o współczesnej literaturze założony jest milcząco taki pogląd: w sferze ideologiczno-swiatopoglądowej dzieła wszystko jest pisarzkowi dane — przez marksistowską naukę o społeczeństwie, przez aktualne hasła, przez prawdy polityki (wielkie, a często drobne — resortowe i taktyczne). Trud poszukiwań pisarza polegać ma na odnalezieniu w materiale współczesnego życia rozmaitych i wymownych faktów, na odczytaniu obrazów owe dane. Nowatorstwo ideowe pisarza rozumiane jest wyłącznie jako odkrywczość w dziedzinie nieznanych jeszcze literaturze faktów, a nie w zakresie idei, koncepcji, poglądów. Tak powstaje literatura ilustratorska. Uboga, nie twórcza, nie ambitna.

Traktuje ona obiegowe prawdy jako jedyny i ostateczny pułap uogólnienia artystycznego, a nie jako punkt wyjścia dla drążącej i zdobywczej myśli pisarza. Przyjmuje z marksizmu kilka podstawowych stwierdzeń o prawach rozwoju społecznego i metodologiczną wskazówkę dla odróżnienia tego, co istotne, od tego, co przypadkowe — ale nie traktuje go jako metody żywej, dającej klucz do ustawicznych, dopływających rozwinięć w każdym czasie i w każdej dziedzinie.

Zestawiając sytuację pisarza socjalistycznego z położeniem realistów przeszłości, stale akcentujemy jego nieporównanie wyższą szansę historyczną, którą mu dał naukowy światopogląd. To oczywiście słuszne. Niebezpieczne jest jednak dla tego pisarza przeświadczenie, że obdarowany historyczną szansą, dobrodziejstwem obiegowych dziś prawd — może się czuć zwolniony od tego napięcia filozoficznej myśli, z jakim szukali formuły teraźniejszości i przyszłości wielcy postępowi twórcy minionych epok. Należałoby więc może z okazji podobnych zestawień pójść dalej i mówić więcej: że to, co dla nich było nieosiągalnym punktem docięcia, dla nas jest punktem wyjścia, niczym więcej, i że wszystko jest stale do odkrycia i przemyslenia w dziedzinie, która nas obowiązuje. W „Cierpieniach młodego Werthera” Goethe zapisał taką myśl: „Gdy Ulisses mówi o niezmiernym morzu i nieskończonej ziemi, nie jest-że to prawdziwsze, bardziej ludzkie, głębsze niż dziś, kiedy byle uczeń zdaje się sobie cudem mądrości, gdy umie powtórzyć, że jest ona okrągła?”

Od pewnego czasu zaczęło usilnie przypominać oczywistą prawdę, że głównym, obowiązującym przedmiotem literatury jest człowiek — historyczny, konkretny, umieszczony na tle stosunków społecznych — że wszelkie idee, jakie pisarz chce wyrazić, muszą być zatem ujęte „od strony psychologii”, „indywidualnego

przeżycia”, „w historii jednostkowych wątków ludzkich”.

Przypomnienie banalne w swej słuszności i bardzo niewystarczające. Nie narusza ono samej ilustratorskiej zasady literatury, głęboko utajonej w systemie postulatów i ocen krytycznych, w samym duchu nagminnego myślenia o literaturze. Nadal pozwala pojmować ową „stronę psychologiczną” tylko jako środek artystyczny, potrzebny dla „ożywienia”, „uplastycznienia” obiegowych politycznych prawd — nie zaś jako specjalny przedmiot poznania, intymną część historii społecznej, której uświadomienie zależne jest w zupełności od literatury.

Przez szereg lat postulowaliśmy w gruncie rzeczy literaturę tylko barwną, plastyczną, nasyoną konkretem, ale nie głęboką. Sprzyjała temu jednostronnie „obrazowa” formuła literatury, która troski zawodu pisarskiego sprowadzała do bogatego, ogładowego zobrazowania prawidłowości znanych, odwracając uwagę pisarzy od obowiązku wykrywania prawidłowości jeszcze nierozpoznanych.

Krótko i sumarycznie: nagminny pogląd, że błąd ilustratorstwa wynika jedynie z braków artystycznych (niedostatecznego stopnia zindywidualizowania postaci, słabego nasycenia realiami, niedowładu obrazowania itp.), że nie tkwi w samej tkance ideowo-myślowej utworu — jest niewystarczający, mylący. Taki pogląd sprawia, że kręcimy się w kółko i nic nie wyjaśnimy zasadniczo.

Utworzył się on w klimacie słabej aktywności myślowej, widocznej także i w innych dziedzinach piśmiennictwa, i utrzymuje się na skutek stawiania literaturze zadań wyłącznie popularyzatorskich w stosunku do ideologii. Ale literatura nie może żywić się wyłącznie popularyzacją ideologii. Wynika to z samego jej przedmiotu — człowiekoznawstwa — który w stwierdzeniach ideologicznych posiada tylko podstawowe, ogólne wskazówki i którego historyczną treść odkrywać musi za każdym razem na nowo samodzielnie, rozwijając światopogląd myśli pisarza.

Ale co to właściwie znaczy, że przedmiotem literatury jest człowiek? Od samego wbijania w głowę ogólników, choćby najsluszniejszych, nikt jeszcze nie zmałdzał. Postaramy się zdać sobie sprawę z tego, jakie obowiązki ów „przedmiot” na pisarzy nakłada.

Na początek powiedzieć trzeba słowo o sprawach tzw. metafizyki bytu. Wrogowie realizmu socjalistycznego (i w ogóle marksistowskiego modelu kultury) głoszą, iż przekreślenie „metafizycznych” treści w literaturze musi być przyczyną jej zguby. Literatura — powiadają — zawsze żywiła się treściami pozanaukowymi, budziła dreszcze zagadkową formułą życia, stawała człowieka twarzą w twarz ze sprawami ostatecznymi. Marksizm, wiążąc uogólnienia literatury z prawami naukowego myślenia, niszczy te jej możliwości, pozbawia ją skrzydeł, trywializuje. Prawa naukowe są suche, wymierne, cząstkowe („nie-poetyckie”), gdy duszą literaturę jest zagadkowość, niepokojąca wieloznaczność, odsłanianie jakiejś wiecznej substancji życia.

Nie byłoby potrzeby zajmowania się tymi, klepanymi już co najmniej od pół wieku, manifestami irracjonalizmu, gdyby w aktualnym sformułowaniu nie zapisywały one na swoje dobro pewnych rzeczywistych słabości współczesnej prozy.

Starannie wymięliśmy z literatury wszelką „metafizykę”, wszelkie mistyczne dreszcze i niesprawdzone mistyfikacje. Przywróciliśmy wszystkim sprawom człowieka ziemskość i racjonalistyczną jasność. Ale bardzo skąpi i nieporadni jesteśmy w dobywaniu z tych pokładów najgłębiej sięgających wzruszeń i refleksji.

W naszych utworach nasz ziemski światopogląd nie jest formułą życia, lecz tylko zbiorem praktycznych wskazówek. „Poszczególne prawdy historyczne, odkryte jego mocą, tkwią w powieściach jak znaki w alfabecie — są niezbędne, ale same przez się są jeszcze martwe. To tak, jakby kto uczył liter, nie znał pisma, co wiąże pojedyncze znaki, przydaje im sens, nośność, pulsowanie. W literaturze tym związkiem, ożywiającym martwy szereg znaków, jest formuła ludzkiego życia — ona dopiero z cząstek światopoglądowego alfabetu czyni fenomen pisma, zdolny wyrazić i zaspokoić potrzeby człowieka. Ona jest pulsem literatury. Jeśli przez chwilę zastanowimy się nad naturą artystycznego wzruszenia i wspomnimy, co najbardziej przejmującym głosem przemawiało do nas z kart lektury, co wywoływało najwyższe spiecia uczuć — okaże się, że była to jakaś wyczuwalna pod warstwą zdarzeń i wzbogacająca nas definicja życia, jakieś ujęcie praw ludzkiego szczęścia, pełni, zaspokojenia, tragizmu, pustki, niedosytu. Tylko prawdy, które wchodzi do utworu z takim lub tym podobnym przeznaczeniem, osiągnąć mogą pełną wymowę artystyczną. Nie przypadkiem melodramat cieszy się niesłabnącym powodzeniem u licznych odbiorców — bo w nim te formuły leżą na wierzchu, wprowadzając kiczowate i płaskie, ale doty-

kalne, dające bez żadnego trudu poczucie obcowania z samym rdzeniem życia. W zakresie tego poczucia działa najtrwalszy chyba wpływ literatury na ludzi. Nie wiem, dlaczego miałoby ono być oddane na pastwę mistyki, dekadentom i nędznym producentom kiczów. Nie wiem, dlaczego my — wyznawcy dumnego racjonalizmu — mielibyśmy odeprowadzać literaturę nurt najgłębiej humanistycznych dociekań, a czytelnikowi niezastąpioną emocję przestawiania z poetyczną syntezą życia.

Nigdyśmy dotąd poważniej nie podyskutowali nad tym, co jest dla nas jej najogólniejszą orientacją: nad tylekroć przyzywaną filozofią optymizmu. Prawda, atak na lakierownictwo wyrugował z literatury nabzbyt już niefrasobliwą różowość obrazów. Ale antylakiernicza ofensywa zaczęła o zewnętrznej tylko kwestii optymizmu: tę, którą się rozstrzyga na poziomie buchalteryjnej sumiennosci.

Ta buchalteryjna sumiennosc zdolna była zauważyć, że — dla przykładu — „mieszkanko na Mariensztacie” jako główny akcent optymistycznej tendencji utworu jest symbolem lakierownictwa, bo „sytuacja na odcinku mieszkaniowym jest trudna”. Czy po tych i tym podobnych poprawkach filozofia, która starczyć ma człowiekowi na wszystkie okoliczności życia, stanie się poważniejsza, zasobniejsza, bardziej trwała? Oczywiście, „trudny optymizm” jest już prawdziwszy od „hurra optymizmu”, ale w obrębie tej samej, zewnętrznej warstwy. Jest właściwszy jako klucz do objaśnienia procesów budownictwa i aktualnej rzeczywistości, ale nadal nie mówi o człowieku, co on ma począć ze sobą, w czym szukać trwałości i satysfakcji, jak dźwigać i jak od-

pierać przypadki swego osobistego losu. Jeśli już tyle mówimy o konfliktach i na nich opieramy rzetelny optymizm literatury — nie zapomnijmy o konfliktach ludzkiego zaspokojenia, któremu tylko głęboka i męska mądrość dać może oparcie. „Najtrudniejszy” optymizm, który o tym zapomni, będzie — nie lakierowniczym wprowadzie — ale ciągle jeszcze powierzchownym omamieniem.

Rzecz znamienna — ani ten optymizm spod znaku „hurra” ani ten spod znaku „trudny” nie powiedział nam nic emocjonalnie i myślowo wartościowego o wielkich perspektywach wieku, który tworzymy. Co najwyżej narysował wizję budynków, które „łatwo” lub „z trudem” w jakimś miejscu zostaną postawione. Co najwyżej zdobył się na jakieś truistyczne zdanko o „ju-trzejszej ludzkości”. Bo to, co nie jest uogólnieniem i zasobnym poglądem na wartości życia w ogóle, nie może sobą nasycić wizji przyszłości. Optymizm „mieszkanka na Mariensztacie” wyczerpać musi jej rozumienie na jej materialnych budowlach. „Trudny” banał o dziś rodzi tylko pocieszający ogólnik o jutrze. I na odwrót: to, co nie wiąże bogatej myśli o przyszłości w odczuwanie wartości życia, jest beznadziejnie światopoglądowych potrzeb odbiorcy. Literatura dać mu ma świadomość, z którą człowiek współczesny może żyć i rozwijać się.

A także zdać mu sprawę z tego, co się w nim samym, w jego najgłębszej istocie, pod działaniem historii odbywa. Pod naszymi jednak piórami racjonalistyczna klarowność ludzi i świata przekształca się w schudniętą porządek duchowego ubóstwa, w filisterskie ignorowanie tych psychologicznych procesów, które nie istnieją jeszcze dla nas w

formie logicznie wyrobionej i jasnej, a stać się mogą takimi dopiero za sprawą pisarzy. Pod tym względem podobni jesteśmy — mutatis mutandis — do XIX-wiecznych pozytywistów, którzy wszystko, co im w człowieku nie podpadało pod ówczesny stan „wiedzy pozytywnej”, odsyłali do lamusa romantycznej bujdy. Pozytywiści mówili: „Człowiek przestał być tajemnicą. Nauka zdarła z niego wszelkie zasłony”. I puszczali w ruch swoją scjencyficzną maszynę (np. Zola) w przekonaniu, że raz na zawsze wszystko jest już dane. My zaś winniśmy powiedzieć: „Człowiek jest nieustającą zagadką, do której mamy racjonalny klucz”. Ale bynajmniej tak nie mówimy, a przynajmniej w myśl tego stwierdzenia nie postępujemy.

To, co zwykło się u nas uważać za psychologiczne pogłębienie, jest tylko pozbawionym samodzielnego poznawczego charakteru dodatkiem (wg nomenklatury — „cechami osobistymi”) dorzucanym do konwencjonalnego portretu politycznego, gwoli jego „uplastycznieniu”. Od pierwszych dni antyschematyzmu poczęła się u nas rozwijać (wspólnym wysiłkiem krytyków i pisarzy) cała potężna nauka na temat dozwiania, łączenia, kontrastowania „cech osobistych”. Stały się one w końcu sakramentalnym zaklęciem przeciw martwocie literackich postaci. Z czasem zdołano coś nie coś tym sposobem poprawić. Tu i ówdzie postaci z papierowych stały się „plastyczne”, z martwych — „żywe”, z błędnych — „wyrziste”. I rzeczywiście, nie można by im było odmówić większej intensywności osobistej barwy, jakiegoś indywidualnego kolorytu. Była to — w najlepszym wypadku — psychologia tylko bierna i opisowa, nigdy walcząca i poznająca. Ale buchalteryjna krytykę w zupełności to zadowoliło.

Poza ilustrację ulepszoną — plastyczną i wyrazistą — nie sięgali jej kryteria. Cała nasza walka ze schematyzmem zamykała się do niedawna w tych granicach. Póki nie stało się oczywiste, że upragnione pogłębienie psychologiczne, za tylko drożką postępującą, nie może nawieźć literatury. Wymaga ono jakiegoś rozumienia natury ludzkiej, formuły życia — o czym była już mowa poprzednio. Wymaga, po wtóre, wyjaśnienia tego, co w procesie historycznym nierozpoznane, co nie ma jeszcze swojej nazwy ani wizerunku, bo zarysy gubią się dla współczesnych we mgłę odczuć, wrażeń, urywkowych myśli.

Panuje u nas przekonanie, jakoby w zakresie historycznego kształtowania się psychiki ludzkiej wszelkie prawidłowości były wiadome, a do odkrycia pozostawały jedynie indywidualne ich warianty i modyfikacje. Jeśli tylko tyle zostawimy poznaniu, znaczy to, żeśmy jego postęp zahamowali. Cisną się pod pióro dziesiątki niejasnych spraw wewnętrznych ludzi naszego czasu, które, gdyby weszły do powieści i zostały w niej rozpoznane, byłyby najdramatyczniejszym, zapierającym dech „pogłębieniem psychologicznym”. Trudno je precyzować sztywnym językiem publicystyki, gdy język żywych obrazów nie zdobył dla nich punktów oparcia w świadomości społecznej. Odwołaj się tu można tylko do tego żywiołu odczuć, które — nieprzeświadczone racjonalną myślą — nie znają jeszcze samych siebie.

Jest coś takiego, jak presja osobliwości narodowych tradycji i osobliwości bieżącej historii narodu na jego psychikę. W co obrócili się przestawny polski „kompleks zachodni” i jak zmieniło się poczucie międzynarodowe Polaków? Co u kogo odczuwane jest jako patriotyzm i jakie związki z przeszłością są w tym żywotne? Jak odbiły się na polskim charakterze specyficzne drogi naszej rewolucji?

Jest coś takiego, jak wpływ nieuchronnych, szorstkich uproszczeń dokonywanych w toku rewolucji, na psychikę ludzką. Kiedy jest on wewnętrznym oczyszczeniem i zasilaniem, a kiedy niebezpieczeństwem nowego typu obskurantyzmu, znieszczenia czy frantostwa? Ilesmy na tym zyskali, ile stracili w profilu współczesnego człowieka?

Jest coś takiego, jak wyjaławiający wpływ złe pomysły metod na oblicze młodego, kształcącego się pokolenia, które w dziedzinach humanistycznych zatracza zdolność samodzielnego myślenia. Kto napisał „portret młodego człowieka” lat 50-tych i rozpoznał tę niedobrą prawidłowość? Itd. itp.

Może te przykłady są fałszywe czy nieważne, może ważne i prawdziwe byłyby inne. Nie o nie chodzi w tej chwili, ale o zagadnienie psychologii współczesnej, która póty jest niezrozumiałą „rzeczą samą w sobie”, póki jej pisarze nie przekształcą na „rzecz dla nas”.

W tym miejscu koniecznie trzeba uspokoić pogotowie tanich polemistów:

1) wszystko, o czym mowa, autor niniejszego nie inaczej widzi w literaturze, jak poprzez cechy osobiste postaci, którym nie odbiera się ponadto prawa do wszelkich innych jednostkowych rysów, niezbędnych dla ich plastyczności;

2) wszystko to nie odwołuje literatury od obrazów materialnego świata, urządzeń i stosunków społecznych, walki klasowej, warunków bytu, od zadań budownictwa socjalistycznego i nawet elementów „doraźnej agitacyjności”. Nie ma to bowiem nic wspólnego z oderwaniem od historii i życia społecznego mdłym psychologizmem — którego nie miały próby już się pojawiają w związku z postanowieniem, że „będziemy pisać o człowieku”.

Ale właśnie dlatego, że takie próby się pojawiają, że wpędziliśmy się w jakąś bzdurną sprzeczność między aktualnymi zadaniami a głębszym znaczeniem literatury — konieczne są jeszcze uwagi następujące.

Przejęci potrzebami politycznego wychowania społeczeństwa przeniesliśmy do sztuki zasady popularnego wykładu ideologicznego, w którym wystarcza obiegowa moneta wiedzy, za to obowiązującą skrupulatną podstawowość i dosłowność w jej przekazywaniu. O różnych miarach krytycznych, jakie stąd wynikły trzeba by jeszcze pomówić.

Przejęci ogromnymi potrzebami dźwigającego się kraju najchętniej widzieliśmy literaturę w roli podręcznego gońca, przynoszącego do każdej komórki naszej pracy pakiety szczegółowych instrukcji, dokładną recepturę zawodowych trosk. Wiemy, że to z tego zacieśnienia celów, a nie z przerosu opisów technologicznych, brała się cherlawość powieści produkcyjnej.

Ale nie stwarzajmy sobie metafizycznych przeciwieństw doraźności i filozofii, użyteczności i piękna, „prymitywnych” klocków codziennej budowy i „złotych lisów” sztuki. Artysta po to jest właśnie, aby te przeciwieństwa, jeśli się w życiu społecznym utworzą i zakłócać zaczął jego duchowy rozwój, przezwyciężać mocą swojej myśli i swego talentu.

Andrzej Wasilewski

Czy pamiętasz o naszej ankiecie

„NOWA KULTURA” w oczach czytelników

(Co czytam najchętniej w piśmie, co mi się w nim podoba, jakich materiałów nie chciałbym w piśmie widzieć, jakie działy należałoby poszerzyć itp).

Najlepsze odpowiedzi będą opublikowane na łamach tygodnika. Dwudziestu ich autorów otrzyma cenne nagrody książkowe.

„CENA STRACHU”



Scena z świetnego filmu „Cena strachu” reżyserii H. G. Clouzota, w rolach głównych Y. Montand i Ch. Vanel

Róża, oparta o drzwi swego pokoju, nie dowierzała ciszy, jaka zaległa w domu. Juliusz mógł się czuć i stać z drugiej strony, wciśnięty we framugę, i mimo zamknięcia wtargnąć do niej. Był dziś bardziej chory i bardziej niebezpieczny niż zwykle.

Chciała odezwać się do męża, przezuwając jego obecność, uspokoić go jakimś dobrym słowem, a także skłonić, by poszedł spać, ale poniechała zamiaru. Ogarnął ją lęk. Prędko odeszła od drzwi i zapaliła ponownie lampę na biurku. Sala bezradnie na środku pokoju. Nie mogła oderwać oczu od podłogi poplamionej alkoholem, od miejsca gdzie niedawno zaszła ta straszna rzecz. Nie była w stanie temu przeskodzić, bo wyszła wtedy, by przyjąć gości, którzy się spóźnili. W pokoju było tłoczno, dzień jej imienin sprowadzał zawsze licznych przyjaciół. Juliusz, na ile mógł, spełniał doskonale rolę gospodarza, pomagał s'kręcać i sprawnie, uśmiechnięty, uprzejmie dla wszystkich. Na pozór nie nie zapowiadało, by przyszedł atak, który zawsze ogarniał Różę przerażeniem.

Posłyszała z hallu, że gwar naraz umilkł, a w ciszy rozlegał się znany jej dobrze rytmiczny stukot. Gdy Róża wbiegła do pokoju — było za późno, by wyprowadzić Juliusza. Stał pośrodku z obłędnym wyrazem, z wykrzywionymi ustami, z których ściekała ślina — i tańczył. Tak bowiem można było określić to, co w takim ataku robił Juliusz. Stukał rytmicznie nogą, najpierw prawą, później lewą, wreszcie zaczął o bracać się coraz prędzej, coraz prędzej, aż do wirowania. Trwało to tak długo, dopóki chory nie zwałił się na podłogę całym ciężarem ciała. Od dnia powrotu Juliusza z obozu, Róża wiedziała z czystych doświadczeń, że nie można przeskądzać w tym upiornym tańcu, i że trzeba czekać chwilę, aż upadnie, wyczerpany i bezwolny.

Podniósł Juliusza Bolesław Stęgien i ułożył go w jego pokoju. Róża cierpiała od wstydu i upokorzenia, bo nie wszyscy wiedzieli o chorobie jej męża. Wyjaśniła pokrótce słowami skąpych: — To z obozu. Paraliż mowy i te ataki.

Goście w delikatny sposób okazali swe współczucie, nie mówiono o Juliuszu, ale jego atak zaciążył przysięgą na zebnaniu.

Sytuację próbował bezskutecznie ratować Stęgien, którego ogólnie podejrzewano, że jest kochankiem Róży.

Ciemna plama rozlanego na podłodze alkoholu w czasie ataku Juliusza dotąd nie wyszła. Róża, wpatrzona w to miejsce, widziała ciągle taniec męża. — Często też z lekiem spoglądała na drzwi. Nie chciała dowierzać ciszy. Jeszcze raz przysunęła się do ściany i nasłuchiwała. Ale nie posłyszała nic, żadnego szmeru. W kuchni już spała Józia, oddana opiekunka Juliusza, a dalej, w pokoju obok, spał zapewne i Juliusz. Ale czy spał?

Nie mogła być nigdy pewna, czy noc minie dla niej spokojnie. Zwalazsza w okresach nasilenia choroby, Juliusz zdobywał się na ogromną siłę, mógł, jak nieraz bywało, rozwarzać drzwi — i wziąć ją za przemocą. Nie był wówczas sobą i jego pożądlność oznaczała również rodzaj ataku. Na szczęście nie zdarzało się to zbyt często. Taniec jednak był zawsze ostrzegawczym sygnałem, dlatego mimo nocy Róża czuwała, aby bronić się przed chorem.

Na przeciwną ścianę, nad biurkiem wisiała duża fotografia Juliusza. Był tam na koniu, zgrabny, młody, uśmiechnięty, nade wszystko zdrowy. To zdjęcie robiła Róża w cztery lata po ich ślubie, gdy przebywali z dziećmi, Marcinem i Jackiem na wsi, w domu rodziców Juliusza.

Róża odwróciła głowę od fotografii, od dawnego Juliusza, który jak gdyby już nie istniał. Bo nie do wiary wydawała się tożsamość tego z fotografią i tego, przed którym teraz drżała z lęku. Zmęczona trudem i przeżyciami dnia, poczuła sennosc.

Zgasła lampę na biurku i próbowała zasnąć. Ale gdy tylko się położyła, sen odleciał, wyparty lękiem

i całą, od nowa przeżywaną, sprawą Juliusza.

Nie mogli odnaleźć się po wojnie, chociaż wzajemnie się szukali. I naprawdę już się nigdy nie odnaleźli. Bo powrót Juliusza był powrotem kogoś innego, kogoś odartego z człowieczeństwa. Róża dotąd miała w pamięci ten dzień, gdy stanął przed nią Juliusz. Było to już w trzy lata po wojnie, w początkach lipca, na kilka godzin przed jej wyjazdem nad morze, gdzie zamierzała spędzić swój urlop. Za chwilę miał zjawić się Stęgien, który ten wyjazd zorganizował, pierwszy ich wyjazd na wspólne wakacje. Zamiast Stęgienia przybył Juliusz.

Długo coś opowiadała, a raczej belkotała, czego Róża nie mogła zrozumieć. Pokazywał jej plik papierów, wśród których odczytywała nazwy miejscowości w Niemczech i nazwy szpitali. Choroba Juliusza była opisywana szczegółowo, ale diagnozy różniły się między sobą. Na jednych zaświadczeniach orzekano, że jest to postępująca skleroza, na innych stwierdzano komplikację po zapaleniu mózgu, które Juliusz przeżył w obozie. Jedno z tych świadectw mówiło także o epilepsji. Paraliż mowy utrudniał porozumienie i czynił rozmowę wręcz niemożliwą. Róża załamywała ręce nad niedolą Juliusza i powtarzała bezradnie: — Co się z tobą stało? Co się z tobą stało?

Juliusz siedział wpatrzony w nią swoimi niebieskimi oczyma, z wyrazem głębokiego smutku.

— Oczy — myślała Róża — pozostały te same, ufnie, dobre, nieomal dziecięce. Włosy miał już zupełnie siwe, zaczesane na bok, i ten sam uśmiech, szczerzy, prawie radosny, gdyby nie zmarszczka z lewej strony ust, która wyrazowi uśmiechu i wyrazowi twarzy nadawała akcent goryczy. Był to ten sam Juliusz — stwierdzała Róża — ten sam w uśmiechu i oczach, ale tylko do chwili, póki nie zaczął belkotać. Nie miał już swego głosu, który tak lubiła, i żadne słowo nie wyszło z jego ust.

Tej pierwszej godziny ich spotkania po latach przysparzała go do siebie tym serdeczniej, im dotkliwiej odczuła ich wspólne nieszczęście. Wiedziała, że Juliusz oddaje jej w ręce cały swój los, całego siebie — i od razu zgodziła się na wszystko.

Nie pojechała ze Stęgiem nad morze, bo chciała zająć się swoim chorem mężem. W porwywie uczucia do Juliusza sądziła, że potrafi sprostać nowym, ciężkim zadaniom. Pomagała jej w tym Józia Gawor, która od dwudziestu lat była gospodynią domu, traktowana jak ktoś z rodziny.

— Mamy nowe dziecko — mówiła Józia z radosną dumą do Róży — bo tak z nim trzeba, jak z dzieckiem. Nie wychowałam to Marcina i Jacka? Trzeba to do prowadzić za rękę, pomóc się umyć, pomóc się ubrać i rozebrać. Niech tam! Niech będzie taki, jaki jest, bo zawsze lepiej, że mężczyzna w domu.

Przez gorący stosunek Józii do Juliusza wyrażała się także jej niechęć do Bolesława Stęgienia, który według niej zajął miejsce należne właściwemu gospodarzowi domu.

W obecności Stęgienia mówiła Józia o Juliuszu: — „nasz pan”, lub „pan inżynier Zborski”. Była też pewna, że „nasz pan” prędko pod jej opieką odzyska zdrowie. Upewniała o tym Różę w chwilach jej wątpliwości i w okresach, gdy zabiegów lekarzy nie dawały spodziewanych wyników.

Róża przekonała się prędko, że wzięła na siebie ciężar nad siły i że choroba Juliusza jest groźniejsza, niż się z początku zdawało. Pierwsze ataki i pierwszy raz widziany taniec, a zwłaszcza noc i ponura pożądlność chorego spowodowały to, że Róża opuściła dom na kilka tygodni.

Ale musiała wrócić, bo Juliusz, jak sobie tłumaczyła, szukał jej wszędzie po wyjściu z niemieckich szpitali, a gdy ją odnalazł — oddał jej w ręce całego siebie. Powtarzała z łez z bólem: „oddal mi cały swój los tragiczny”.

Mimo protestów Bolesława wróciła wtedy do Juliusza.

Ale każdy jego atak przeżywała na nowo, tak samo silnie, jak wówczas, gdy po raz pierwszy patrzyła na ów taniec, taniec strasliwej męki. Tak musiałby wyglądać „taniec śmierci”, gdyby czyjaś wrobraźnia zapragnęła dać wyraz zmaganiom między życiem a umieraniem.

Róża nasunęła koldrę na głowę i zaczęła mocno powieki, aby uciec w ten złudny sposób przed uporczywym widzeniem dzisiejszego tańca. Tak walcząc daremnie z przesładowczą wizją — posłyszała naraz znane szmery w przedpokoju.

Znalazła się prędko przy drzwiach i ukryła się w portierze, gotowa zrzęcznie się wysunąć i uciec do Józii, gdyby Juliusz zdołał rozbić drzwi. Józia spała tak mocno, że daremnie było liczyć na jej pomoc.

Słyszała ciężki, sapiący oddech Juliusza po drugiej stronie ściany. Jego ręce przesuwały się wolno, jakby w poszukiwaniu klamki. Naraz Juliusz zaczął walić we drzwi pięściami i zdawało się też, że uderza w nie głową. Po długiej chwili posłyszała jęk, a później, co zdarzało się rzadko i co było najgorsze, doszedł ją płacz Juliusza. Tak, Juliusz płakał. Widziała to nieraz. Lzy leciały prędko z jego oczu, spadały wielkimi kroplami, jedna za drugą, jak lzy dziecka, niezdolnego wypowiedzieć przyczyni płaczu. Róża pamiętała i to, że płacząc, miał otwarte oczy, że ich nie przymykał, jak tego wymaga niejako samo zjawisko płaczu, ale miał je napelnione łzami, nieruchomo patrzące.

I teraz widziała także otwarte oczy Juliusza, który płakał po drugiej stronie drzwi, zaopatrzonych w dwa mocne zamki.

Róża nie mogła znieść płaczu Juliusza, przywarła ustami do białego lakierowanego drzewa i mówiła najcudziej, jak do dziecka: — Juleczku, połóż się. Już jest późno, bardzo jest późno. Idź do swego pokoju — idź kochany. Czy słyszysz? Nie płacz, kochany! Ko-cha-ny!

Płakali teraz oboje po obu stronach drzwi.

Minęło dużo czasu, nim Róża posłyszała ciężkie kroki Juliusza, który odchodził z swego pokoju. Nareszcie odchodził.

II

Nazajutrz, nim Róża wyszła po prawie bezsennej nocy do Uniwersytetu, gdzie była kierowniczką działu czasopism w bibliotece — zaszła do pokoju Juliusza.

Leżał z otwartymi oczyma, zaparty w jakiś punkt i długo czekała, nim przeniósł wzrok na nią i nim ją poznał. Poruszył cicho wargami, nasunął na siebie koldrę i uśmiechnął się, na równi smutno i radośnie. Róża podeszła do łóżka, poprawiła Juliuszowi jasiek pod głową, odgarnęła włosy znad czoła i pośpiesznie pocałowała go w policzek.

Szła prędko małą i krętą uliczką, która prowadziła do parku, tam bowiem codziennie z rana spotykała się ze Stęgiem. I on także szedł do Uniwersytetu, gdzie od kilku lat wykładał matematykę, zajmując stanowisko docenta. Odbywali razem drogę przez park i drogę do Uniwersytetu, mieli też tutaj w parku swoje ulubione miejsca, które odwiedzali i wśród których czuli się bezpiecznie i swobodnie. Wychodzili oboje z domu o pół godziny wcześniej, aby wykorzystać czas na spacer i rozmowę, i aby tutaj nabrać sił i zdrowia do całodziennych prac.

Taki obyczaj ustalili się od pięciu lat, od chwili, gdy w życiu Róży pojawił się Bolesław, na długo przed powrotem z obozu Juliusza. Bywały jednak przerwy w ich spotkaniach, bowiem Róża miewała okresy swoich „ucieczek w samotność”, jak je nazywał Stęgien i wówczas nie chciała go widywać.

Lubiła ten park, gdzie tyle doznawała radości z powodu Stęgienia, lubiła drzewa, którym nigdy nie mogła się dość nadziwić. Odpowiadali zawsze miejsce, gdzie w gęstym skupieniu rosły stare, ogromne lipe. Było to prawdziwie uroczyście piękne, do którego podpyływał nierównymi brzegami duży staw. Mieli też swoje akacje w parku, aleję jesionową i rozrośle, szumiące kasztany. Róża zatrzymywała się zawsze obok trzech platánów, które posadzone tu niedawno, w pobliżu wierzby, zwisających cieniułkami wtkami do ziemi. Obserwowała młode pędy platánów i cieszyła się, gdy mogła zauważyć zmiany, jakie w ich wroście zaszły.

Dzisiejszy ranek październikowy ogarnął Różę swoim chłodem, szklistością rozłożonego powietrza. Niebo było wysokie, bez chmur, blade światło drżało na liściach drzew i na trawie.

Znajoma droga i znajome drzewa, cały ten rzeźwy świat, obmyty w rosie, w przymroczku, który rozpylał się wilgotnymi smużkami, wciągał Różę urokiem świeżości po nieprzespanej nocy.

Z daleka dostrzegła Bolesława, który szedł do niej od strony akacjiowej alei, dobrze odziany, silny i jeszcze młody. Wymachiwał tęczką i kapeluszem, rozradzany i uśmiechnięty, ale — gdy całując Różę w rękę spojrzał jej potem w oczy — posmutniał od razu. Szli wolno wzdłuż alei, stąpając po liściach opadłych, wydających twardy szelest.

Bolesław mówił na nowo o tym samym, o daremnym trwaniu Róży przy Juliuszu. W ciszy tego chłodnego ranka głos Bolesława drżał bardziej muzycznie niż zwykle. Róża słuchała jego głosu, nie słysząc słów. Głos był niski, ciemny, delikatnie modulowany, zwłaszcza gdy słowo zamykało się pytaniem. Mimo woli Róża przymykała oczy, aby nasycić się muzyką głosu Bolesława i muzyką liści, po których ostrożnie stąpała.

Taki głos — myślała — miał kiedyś Juliusz. Choć nie taki sam, nie tak niski i ciemny, ale także miły, ciepły. Wydarło głos Juliuszowi! — westchnęła z żalem. Nie odpowiadała na pytania Bolesława. Ujęła go pod ramię, by tym lepiej nie tylko słyszeć, lecz czuć drganie jego głosu. Chciała, by Bolesław mówił. Przecież Juliusz nie mówi i nie może znaleźć wskutek tego swojej drogi do świata. Ani do niej, do nikogo.

Zrobiło jej się żal Juliusza i ogarnął ją niepokornyony żal samej siebie. Gdy podniosła powieki, żal przeniósł się na ogolone drzewa, na liście zamierające wśród ścieżek parku, na cały widziany ranek jesieni. W oczach tkwił ból po nocy nie spanej, więc przymknęła je prędko, zmęczona wszystkim, zmęczona życiem. Ale dopiero teraz rozumiała słowa Bolesława:

— Nie można żyć ustawicznie cudzym cierpieniem, Rózo, zwłaszcza jeśli jest ono niemożliwe do usunięcia lub złagodzenia. Choroby Juliusza nikt nie uleczy. Nie idzie tu o samą opiekę, bo Józia opiekuje się chorem doskonale.

— O, tak, — westchnęła Róża. — Pozwól też sobie powiedzieć, że spełniasz zle swoją rolę wobec niego.

— Dlaczego?

— Przeżywasz zbyt silnie jego chorobę, nie oswoiłaś się dotąd z niczym, ani z jego atakami, ani nawet z jego obecnością. Lękasz się go. Lęk i litość jest u podstaw twojego stosunku do Juliusza. Nie można żyć w lęku przez całe lata. Kto wie, czy te lata nie będą jeszcze długie? A przed tobą jest inne życie, Rózo.

Spojrzał na nią i spotkał się z jej oczyma. Wczytał w nich od razu, że tak było, jak mówił, że lęk ogarnął Różę i dawał się poznać po niepokojach i niepewności, po uniesieniu brwi, po wyrazie ust, zawsze rozchylonych i drżących. Pomyślał z radością, że Róża jeszcze jest młoda i ładna, że zachowała dotąd dużo świeżości. Lubił też jej smutek i jej bezbronność, widział w tym dowód, że jest jej potrzebny i niezbędny w uporczywej walce z życiem. Nie miała nikogo, bo Marcin nie wrócił do kraju i pozostał w Anglii, a Jacek przebywał w innym mieście, zajęty swoim malarstwem, mało troszcząc się o matkę i chorego ojca. Miała tedy jego tylko, jego

JERZY ZAWIEYSKI

oddanie, dojrzała jego miłość, która cierpliwie czekała na jej decyzję, by mogli się pobrać. Ale nie było to łatwe ani proste. Róża trwała w swoim uporze i nie chciała pozostawić Juliusza jego niemiłosiernemu losowi. Nie osłabiły w niej tego dziwnego postanowienia wszelkie możliwości doskonałej opieki, jaką miałby Juliusz, czy to umieszczony na wsi, oddany Józii, czy umieszczony w jakimś dobrym zakładzie.

Róża powtarzała uporczywie, że Juliusz powierzył jej siebie, całą swoją niedolę i cały swój los tragiczny. Nie może go zdradzić ani nie może złać jego zaufania. Te słowa Róży zrodziły w Bolesławie pewność, której nigdy nie wyraził głośno, że i on ma powierzony sobie los tej umęczonej, słabej kobiety, i że nie może od niej odejść, zlać zaufania, jakim go obdarza, ani tym bardziej nie może jej zdradzić.

Mieli tedy oboje te same racje nadzadne, jakie ich wiązały, mimo pozornie łatwego wyjścia ze splątanych konfliktów życia. O to widać proste i łatwe, jedyne, jakie widział, walczyl Bolesław wytrwale i cierpliwie. Róża nieraz odchodziła od niego, zrywała to, co było nie do rozzerwania, zabierała, by ją widywał i „uciekała w samotność”.

Trwały takie ucieczki dni, nieraz tygodnie, ale Róża zawsze wracała, bardziej bezradna i smutniejsza niż przedtem. Bolesław cierpliwie oczekiwał jej powrotu i nie czynił Róży nigdy żadnych wymówek, ani nie sprzeciwiał się jej ponownym „ucieczkom”. Uciekała przecież w jakąś swoją pustkę, w samotność daremnej walki.

Czy mógł od niej odejść, zniechęcony beznadziejnością swojej miłości? Czy mógł ją zdradzić?

Przyznawał w skrytości i ze zdumieniem, że cierpienie Róży przykuwa go do niej mocniej, niż gdyby tych przeżyć nie miała. Tak samo — myślał — jest i w stosunku Róży do Juliusza. Nie zawinione jego cierpienia są zobowiązaniem dla Róży i wiąza ją z jego losem.

Wiedział tedy, że Róża nie może opuścić Juliusza, nie może tak samo, jak i on nie może opuścić jej, mimo wszystko. Ale to były argumenty ze świata pojęć, którym przeczyły uczucia, którym przeczyło samo życie. Buntował się, żądając od Róży, by przystała na ich ślub.

Róża miała także swoje bunty, bo jej „ucieczki” nie były wcale niczym innym. Bolesław kochając Różę chciał się z nią ożenić, założyć dom, posiadać szczęście proste, ludzkie, jakie ma każdy.

Długo mówił teraz pośpiesznie, prowadząc Różę wzdłuż stawu, który leżał w bładych mgłach pośród wędugnych czerwonych liści bukowych i pośród żółtych wierzby.

— Juliusz, Rózo, nie jest zdolny ogarnąć powikłań ani swojego, ani twojego życia. Wydaje się, że nie nie rozumie. Jeśli ci o niego idzie, nie spotka go żadna krzywda. Będziemy go odwiedzali, będzie cię nasz opiekę. Nie zrozumie na pewno, co zaszło. Rozwód przeprowadzę łatwo, bo wystarczą dotychczasowe zaświadczenia lekarskie. Sama rozumiesz — stanął, zatrzymując Różę na chwilę — że tak daleko być nie może, i że to musi się skończyć!

— Tak, to musi się skończyć — powiedziała Róża cicho,

— Rózo! — Rózo! — mówił Bolesław ze zdumieniem i radością.

Róża będzie zawsze żałowała tych słów, i zawsze będzie do nich wracała. Będzie też wracała do tego dnia szerszego od rosy i słońca, do stawu błękitniejszego wśród mgieł.

Ale teraz wyrwała się prędko z objęć Bolesława i pośpiesznie krokiem ruszyła ku bramie wyjściowej. Nie mogła odpowiedzieć na usilne jego pytania, jak sobie ten koniec wyobraża.

W bibliotece nie było jeszcze nikogo. Aby obronić się przed sennoscą zaparzyła sobie kawy, którą miała w biurku. Rozdrażniła ją rozmowa z Bolesławem, zwłaszcza naleganie, by złożyła podpis na podaniu o rozwód. Ale równocześnie niepokoiła się odmową, jaką dała Stęgieniowi, bo, mimo wszystko, nie była pewna, czy nie zniechęci go trwaniem w niezdeterminowanym. Nie mogła wyobrazić sobie życia bez tego człowieka. Ale czy mogła wyobrazić sobie, że opuści dla niego Juliusza?

III

uprzejme słowa, jakie Bolesław zamieniał z bibliotekarką, były dla Róży jak gdyby z nagła odzyskany szczęściem.

— Ależ tak — powiedziała do swych myśli, po raz drugi dzisiaj: — to się musi skończyć!

— No, trzeba wstać, trzeba wstać! — mówiła stojąc w drzwiach. — Dzień jest zimny, ale słońce duże! Zaraz przyrządzę śniadanie!

Tak było co dnia. Józia wracała z miasta, nawoływała do wstawania i potem dreptała po kuchni.

Juliusz wstawał powoli, szedł do łazienki, goił się i mył. Później, nagłony przez Józję do pośpiechu, jadł z nią śniadanie w kuchni. Józia opowiadała, co zaszło w mieszkaniu i co mówiły jej kobiety, albo,

tknięta naraz współczuciem dla Juliusza, biadała nad nim. Był to jej częsty monolog, bo Juliusz żadnym gestem nie brał udziału w tym, co Józia mówiła.

Po wczorajszym ataku Juliusza zebrali się na to czułość, więc dała upust swoim białdom:

— Jedz, nieboraku, jedz, bo tyle twojego. Nic nie masz, nic nie zapracujesz, nie głową nie wymyślisz. Wszyscy się ciebie pozbyli i wszyscy się ciebie wstydzą. Jedz, nieboraku, jedz. Co by z tobą było, gdyby mnie nie stało? Zna, choć ślubna, ucieka do innego, do takiego, co mocny i krzepki. Ale i ty byleś chłop, jak się patrzy. Czy to o tym nie wiem? Ach, mój nieboraku, co oni z ciebie zrobili? Zepsuli ci rozum w głowie. Jedz, nieboraku.

Józia była stara, siwa, bardzo chuda i wysoka. Chorowała od wielu lat na reumatyzm, na ischias i lumbago. Z tego powodu musiała ubierać się ciepło, toteż i dzisiaj była okutana w różne welny od głowy po stopy.

Nakładała Juliuszowi jajecznicę na talerz i glądząc go po włosach ciągle zachęcała do jedzenia.

Odąkł powoń, stał się prawdziwym jej powiernikiem. Mogła mówić co chciała, mogła mu się zwierzać, opowiadać o Róży i o Stęgieniu, lub — co lubiła najbardziej — wspominać swoją młodość. Nade wszystko jednak wzruszało ją to, że Juliusz jest bezbronny, zależny całkowicie od niej. Czuła wagę swojej opieki i znajdowała najwyższe szczęście w świadomości, że jest komuś aż tak potrzebna.

Kochała go, jak się kocha dziecko lub jak istotę niewinnie cierpiącą, słabą, która zbyttno nie przeszkadza i która daje poczucie zasług przez fakt najzwyklejszych o nią starań.

Józia wyręczała się niekiedy Juliuszem w czynieniu zakupów, zwłaszcza wtedy, gdy dokuczały jej bardzo bóle reumatyczne. Juliusz szedł z koszykiem do spółdzielni lub na targ i pokazywał kartkę, na której Józia pisała wielkimi literami, lekceważąc sobie fotografie: „proszę dać: durzy hlep, kilo marmhi”. „I dać dobrze reszły nazad” — brzmiał twardo rozkaz Józii, wypisany u dołu kartki.

Dziś jednak Józia sama porobiła już wszelkie zakupy, więc zbierając ze stołu naczynia, mówiła do Juliusza:

— Idź się przejść, nieboraku — idź. Pewnie cię głowa boli po wczorajszym ataku. Taka choroba, mój Boże, świat nie widział. Idź!

Juliusz poszedł do swego pokoju, już przez Józję uprzątniętego — i według codziennego zwyczaju usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

Zaczął przeglądać gazetę, którą Józia przyniosła, ale mógł przeczytać tylko tytuły i to, co było drukowane grubszą czcionką. Niemożność czytania stanowiła największą udrękę dla Juliusza, bołay go bowiem oczy przy czytaniu i dokuczał ból czoła. Według opinii lekarzy, bóle te miały związek z chorobą Juliusza i dlatego nie można było na nie zaradzić. Przeglądając pobieżnie gazetę, natrafił Juliusz na zamieszczoną w niej fotografię oficera w mundurze niemieckim. Podniósł wyżej pismo, aby lepiej widzieć. U dołu zdołał wyczytać, że jest to zbrodniarz wojenny, nad którym od-

W X ROCZNICĘ WYZWOLENIA



TAK RODZIŁA SIĘ WOLNOŚĆ

Wspomnienia uczestników walk o wyzwolenie Ojczyzny

Obszerny tom form. 20 x 27 cm, oprawy w płótno, bogato ilustrowany 8 plansz kolorowych

Stron 416 Cena zł 35.—

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA CERONY
NARODOWEJ
K. 3105-1

był się sąd w Holandii. Ale nie był to major Kurt Winter. Ten nazwał się Heinrich Miller. Patrzył na tę fotografię, widział tamtego.

Kurt Winter przybył do obozu, na stanowisko komendanta już pod koniec wojny. Powróciwszy z frontu wschodniego przeżywał katastrofę, jaka zawiła nad III Rzeszą, bo z rozpaczy i szaleństwa, a także ze strachu — pił i urządził orgie. Wśród zabaw odbywały się strzelania do więźniów, których goniono po głównym placu — i dokonywano egzekucji na tych, co siedzieli w karnych bunkrach. Noce upływały dla więźniów w przerażeniu przed niespodziewanymi pomysłami Wintera. Juliusz od początku uważał życie obozowe za próbę i szansę zręczności, by uniknąć bezsensownej śmierci. Chciał żyć. Nie dopuszczał do siebie ani buntu, ani rozpaczy, nie chciał nic wiedzieć o zbrodniach, jakie działały się dookoła. Zabiegał o to, by nie być głodnym, ale i o to także, by nieść pomoc choremu i siedzącym w bunkrach. Wiedział, że ratunkiem jest

rem, dawno minionych, a jednak w nim obecnych. Wszystko, co było wtedy w obozie — już przeszło. Zdziczenie i zbrodnie zostały jako-by ukarane, niewinne ofiary, które rozwinęły się w popiół pod paleniskami krematoriów — przez żyjących zapomniane, wyparte z pamięci. Po wstrząsach świata zaległa cisza, groźna cisza przed nową, czarną nocą. Niemym świadkiem ponurej uczy zbrodniarzy, świadkiem nieznanym, nieomal nieznanym, niemym żołnierzem — jest on sam dotąd, on, Juliusz Zborski, ukryty w domu swej żony, oddany pod opiekę Józki.

Gdy tylko zjawił się w tym pozorze swoim domu — przedko spostrzegł, że niepotrzebnie wrócił. Przysporzył Róży zgrzyot i pogłębił jej konflikty, stając pomiędzy nią a Stęgieniem. Róża zaskoczona pojawieniem się Juliusza, którego miała za nieżyjącego, przyjęła jego chorobę z nadmiernym przerażeniem. Wiedział o tym, że go się bała i że budził w niej wstręt. Nie mogła ścierpieć jego belkotu, więc

pomyślał, że ten dzień jest dnem jego pożegnania.

Pewna boczna aleja parku prowadziła do wyjścia w ulicę, na której kiedyś oboje z Różą mieszkali. Juliusz skierował się w tę stronę, ale przypomniał sobie, że domu, który chciał widzieć, już nie ma. Nic w tym miejscu nie ma, poza gruzami. Zabolalo go samo to słowo „nie ma“.

Więc zawrócił i poszedł do oddalonej alei wiązów, gdzie od pewnego czasu uczył się głośnego wymania kilku zdań. Chciał Różę sprawić niespodziankę i odezwać się do niej tak, by go zrozumiała. Miał jej wyrecytować wyczzone słowa wczoraj, jako podarunek imiennowy, ale od samego rana przeszkadzali goście, a później przed wieczorem przyszedł atak.

Czy powie jej dziś?

Oparł się o ławkę i z trudem, w wielkim wysiłku powiedział w przestzeń:

— Nie jestem obłąkany. Pomóż mi, abym był zdrowy. Kocham cię, Rózo.

nęła go fala ciepła, poczuł gorąco, ocierał rękawem pot z twarzy. Zjawiła się w nim nagła miłość do świata, aż się zanosił w sobie od szczęścia i zachwytu. Brałby w ramiona każdego i każdemu mówił słowa czułości. Ale był niemy i nie mógł światu niczego z siebie przekazać.

Wbiegł zdyszany, ostatkiem siły, na teren budowy. Znalgi tu wszyscy i niektórzy z pięt wolał:

— Cześć, panie inżynierze! Jak pan wygląda? Co? Już od rana zachodziło się na jednego? A my tu normy walimy, jak cholera!

Splynął na Juliusza życzliwy, szeroki śmiech tych ludzi młodych i silnych. Ogarnął go rytm ich pracy. Stojąc na deskach przejmował w siebie ruch i tempo roboty w ra dosnym podnieceniu. Tu był u siebie, wśród swoich, w samym sercu życia. Chciał zawołać do ludzi na budowie i powiedział im coś, co mu się z trudem układało w myślach, ale przed oczyma naraz pojawił się czerwony, drobny deszcz ognia, a wśród deszczu leciały już na niego kule z białego szkła.

Megafony odezwały się hałaśliwą muzyką marsza, który dookoła potęgował rytm i tempo, a z muzyką ożyła wojna. Miała ona twarz Kurta Wintera.

I teraz zaczął się taniec Juliusza, wśród rozkrzyżowanej muzyki megafonów, wśród krwawego deszczu i kul, które pękały z brzękiem nad jego głową.

Po trzech godzinach Juliusz obudził się w białym pokoju ambulatorium. Nie chciał, aby go odwieziono do domu. Poszedł wolno tą samą drogą przez park.

— Co tak późno, Dziuldziulku? — narzekała Józka, otwierając drzwi. — Jak ty wyglądasz? — Co to? Krew na policzkach? Krew na rękach? Na palcach? Co to? Co to?

Tym razem Juliusz był szczęśliwy, że jest niemy. Mógł nie opowiadać, co zaszło.

IV

Tego popołudnia było inaczej niż zwykle i Róża do końca będzie pamiętać każdą chwilę, jaką miała. Zazwyczaj po powrocie z pracy Róża siadała przy maszynie i przepisywała swoje angielskie przekłady. Stanowiły one dodatkowy zarobek, bo pensja była skromna, nie wystarczałyby na utrzymanie domu. Juliusz przebywał wtedy albo w swoim pokoju, albo w kuchni u Józki, gdzie najczęściej pomagał jej w robocie na drutach. Józka bowiem także zarabiała. Juliusz rozplątywał kłębki wełny, lub nawijał je na pasma.

Był już zmierzch, gdy Juliusz wszedł do pokoju Róży. Przyjęła go z lekkim zdziwieniem, nie przerywając czytania. Juliusz spostrzegł, że Róża jest niespokojna, bo często odkladała czasopismo, z którego widocznie coś miała tłumaczyć, podchodziła do okna, to do telefonu, jakby w zamiarze podjęcia słuchawki. Otulona szaleem chodziła też po pokoju, nie patrząc na niego. Juliusz siedział w fotelu nago, przeciw jej biurka i w pewnej chwili, gdy Róża była blisko niego, pocałował ją w rękę. Spojrzała ze zdziwieniem.

Wydała mu się ładniejsza niż zwykle i z czułością patrzył na jej obfite, jasne włosy, spadające na kark. Miała dobrą cerę, bladą i matową, oczy ciemne ale zimne w wyrazie. Chłonał jej urok i ród był, że może na nią patrzeć. Gdyby mógł mówić, zapytałby o przyczynę jej niepokojów i zdenerwowania. Ale i tak wie, że przyczyną jest on sam. Nie mogło być innych konfliktów, poza tym jednym, że jego istnienie stało się pomiędzy nią a Stęgieniem. Postanowił już dawno skończyć ze swoim życiem, ale nie mógł odejść od Róży. Kochał ją zawsze, teraz bardziej niż kiedykolwiek, odkąd stała się niedostępna dla niego wskutek jego choroby i wskutek tego jeszcze, że w jej życiu był Stęgien.

Miał jakby swoje prawa do Róży, jako do żony, lecz równocześnie ich nie miał. Nie chciał Róży w niczym przeszkadzać i przyzwoleniem na to, by mogła go traktować jako obłąkanego, dawał jej prawa do swobody, do wszystkiego, co mogło ją wiązać ze Stęgieniem. Czy był on jej kochankiem? Tego nie wiedział, przeżywał tylko, że Róża musi mieć w tym względzie swoje opory i swoje racje moralnej natury.

Tym droższa stawała się dla niego, skoro nie należała do Stęgienia. Ale coś to znaczy, że nie należała ciałem, gdy go na pewno kochała? To było jedynie ważne, jedynie istotne.

— Róża kocha Bolesława... Róża kocha Bolesława... — przesuwało się w jego myślach.

Był niemy i nie mógł jej powiedzieć, że ją uwalnia od siebie i że teraz siedzi u niej, przed jej biurkiem, by jej za wszystko dziękować. Jest to jedyne popołudnie, jakie chce mieć dla siebie i z nią. Niech Róża spojrz na niego i jeśli potrafi, niech wszystko zrozumie.

Gdy Róża usiadła przy maszynie do pisania, podszedł do niej i wziął ją po raz drugi za rękę. Trzymał jej dłoń w swojej dłoni, a potem ułożył i głowę złożył na jej kolanach. Róża pogladziła go po włosach i zdawało mu się, że z ogromnej odległości dochodzi do niego jej głos.

— Juleczku? Co to, Juleczku?

Tak trwał krótką chwilę. Była to chwila jedyna, nagroda za całe życie, za wszystko: — nawet za chorobę, za wełnę. Czy Róża zrozumiała, że jej dziękował?

Wszystko zgasło i odeszło niepowrotnie, kiedy Róża wstała i zapaliła lampę na biurku. A potem mówiła:

— Zawiozę cię na wieś, Juleczku, gdzie będziesz razem z Józją. Mam upatrzone miejsce w ładnym domu. Jest tam ogród, niedaleko las i niezbyt wysokie góry. Będę do ciebie przyjeżdżała na każdą niedzielę i na każde święto. Czy zgadzasz się, Juleczku? Czy do brze?

Juliusz patrzył na Różę szeroko otwartymi oczyma. Nic nie rozumiał, czego od niego chce.

— Tak dalej być nie może! — powiedziała twardo.

Wracała w myślach do argumentów Stęgienia. Nade wszystko drażniło ją to, że Stęgien po wyjściu z Uniwersytetu mówił ciągle o beznadszności ich życia.

— Dziś musisz coś postanowić, Rózo. Nie mogę się zgodzić na dalsze czekanie.

Z tym ją pożegnał. Nie zapowiedział, czy zadzwoni do niej. Nie umówił się na spotkanie.

Nigdy też Stęgien nie mówił w sposób tak twardy i tak bezwzględny.

Jeśli odejdzie od niej? Jeśli nie będzie w stanie znosić tego dłużej?

Róża czuła się zagrożona w najważniejszej sprawie swego życia. Kochała przecież Bolesława, choć długo nie chciała przystać na tę swoją miłość dla niego. Dziś, gdy odszedł jak gdyby urażony, poczuła, czym jest dla niej. Przynawiała mu w myślach słusność. Wiedziała, że trzeba wszystko z Juliuszem przeciąć od razu. Należy go wysłać na wieś pod opieką Józki i starać się o rozwód. Nie mogła ogarnąć w pełni szczęścia, jakie ją czeka przy boku Bolesława. Przede wszystkim nie będzie Juliusza.

Patrzyła teraz na niego z wyrzutem, że zabrał jej kilka lat życia. Nie znosiła w tej chwili wyrazu oczu Juliusza, niebieskich i okragłych, w których było coś naiwnego, coś z dziecka i coś z dojrzałej mądrości na równi. Nakazywała sobie wstrzymać w Juliuszu tylko chorego, budzącego co najwyżej litość.

— Nie patrz tak na mnie! — krzyknęła ze złością. — Czego chcesz? Czego chcesz? — wołała. Juliusz trwał bez ruchu. Nie mógł przecież nic powiedzieć. Był niemy.

Róża nie wiedziała, czy iść do Stęgienia, czy posłać do niego Józję, czy cierpliwie czekać aż przyjdzie lub odezwie się przez telefon.

Chciała mu powiedzieć o swej decyzji i z góry cieszyła się na myśl, z jaką radością Stęgien przyjmie to nowinę.

Była w tej chwili, jak młoda dziewczyna, w oczekiwaniu na ukochanego. Nie wstydziła się, jak to nieraz bywało, że go tak pragnie. Że palą ją ognie, gdy jest blisko przy niej, gdy mówi, gdy patrzy.

— Przecież każdy ma prawo do szczęścia — myślała teraz, wpatrując się w otwarte oczy Juliusza. Człowiek nie może być sam, ani nie może skazywać siebie na ciągłą udrękę!

Myślała tak słowami Stęgienia, by upewnić się w nieodpartych argumentach, jakie teraz znajdowała dla swej miłości. Chodziła po pokoju dużymi krokami i zapalała się coraz bardziej do powziętej decyzji.

Dziwilo ją, że dotąd nie odeszła od Juliusza. Bwio go jej żal, były też w niej silne nakazy wierności i trwała w niej pamięć przysięgi danej podczas ślubu. Swobodę decyzji pętały te wzledy, na równi ludzkie, jak nie ludzkie. Czy dlatego należał zniszczyć szczęście, które stoi tuż blisko i czeka, by ulec zływemu nakazom moralnym? Kto je wmyślił? Kto je narzucił?

Broniła się przed tymi myślami. Ale wiedziała, że nie są to myśli przez nikogo narzucone, że powstają z niepokoju sumienia.

Dłatego teraz sądziła, że w sprawie ze Stęgieniem należał iść nie jako na oślep, bezwzględnie, nie zważając na nic. Ma do wyboru albo Stęgienia, albo Juliusza. Wybiera więc Stęgienia. Czyli zdrowie, radość i proste, zwykłe ludzkie szczęście.

Juliusz nie odczuje żadnej krzywdy, bo będzie miał doskonałą opiekę Józki.

Była podniecona i czuła się teraz lekko, jakby się uwolniła od czegoś co nazywała „zmorą swego życia“. Spojrzała nawet bez żalu na Juliusza.

W tej chwili właśnie odezwał się dzwonek telefonu. — To Bolesław! — pomyślała Róża z radością. Ale nim podeszła do niskiego stolika, na którym stał telefon, Juliusz podjął słuchawkę i stanowczym ruchem ręki odepchnął Różę.

— Co to znaczy? — krzyknęła. — Daj mi!

Juliusz stał nieporuszony i zagradzał jej drogę do aparatu nie puszczając słuchawki.

Chciała mu ją wyrwać i przez chwilę mocowała się z nim, ale ustąpiła przedko, wiedząc, że Juliusz jest silny. Co miał na celu? Dlaczego nie pozwalała jej mówić?

Po pewnym czasie Juliusz odrzucił słuchawkę i odszedł w drugi koniec pokoju.

Ale nikt się w telefonie nie odezwał. Róża w wielkim gniewie z powodu Juliusza, nakreślała szybko numery na tarczy. Znowu było głucho w słuchawce, widocznie zaszła pomyłka, więc na nowo w pośpiechu zaczęła obracać tarczą, by wskazać rozmowę ze Stęgieniem. Zsunęła się z fotela i na kłęczkach pochylała się nad aparatem, ścisnąc w obu rękach słuchawkę.

— To ja! — krzyczała. — To ja... Odezwiąj się!

Ale nikt się nie odezwał. Róża, pochylona nisko, płakała. Juliusz zakrył twarz rękami, nie mogąc patrzeć, jak Róża kłęcząc czeka na słowo Stęgienia.

Bolalo go jej upokorzenie i targal nim wstyd i za nią, i za siebie, bo niepotrzebnie przeszkodził w rozmowie. Ale chciał, by Róża tego popołudnia była tylko z nim, by nigdzie nie odchodziła, zwłaszcza do Stęgienia. Będzie go miała przez całe życie, a jego ma tylko jeszcze dzisiaj. Po pewnej chwili usłyszał znów nakręcanie tarczy i doszły go jej stłumione słowa. Tym razem uzyskała połączenie ze Stęgieniem. Mieli się spotkać u niego w domu.

Róża sprzątała drobiazgi w pokoju i ubierała się pośpiesznie. Nie powiedziała ani słowa, nie spojrzała na Juliusza, wychodząc. Wróciła od drzwi z przedpokoju, bo zapomniiała rękawiczek, które leżały na biurku. Wreszcie wyszła.

Juliusz był jeszcze przez chwilę w pokoju Róży. Widział ją ciągle we łzach, gdy na kłęczkach pochylała się nad telefonem, oczekując głosu Stęgienia. Odeszła teraz wzburzona, lecz zapewne szczęśliwa. Nie bolalo go już to pośpieszne odejście Róży, bez słowa, bez spojrzenia. I bez pożegnania.

Poczuł w sobie dumę, którą budził w nim bunt przeciwko Róży. Postanowił odnieść zwycięstwo nad życiem, zwycięstwo najsmutniejsze. Róża będzie uwolniona od niego, on sam uwolni się od daremnej miłości, od swej choroby i nade wszystko od Wintera. Bo Winter zostanie zamordowany i wreszcie nastąpi prawdziwy koniec wojny. Zamknie się jej ponury epilog, który trwał w nim od lat i zakończy się taniec, ułożony przez Wintera. Duma dawała Juliuszowi poczucie samotności i siły, zdolnej pokonać kres wszelkim konfliktom. Gdyby mógł pracować, choćby jako robotnik przy budowie, poszedłby stąd do ludzi i zaczął nowe życie.

Ale pracować nie może. Przenikalo go teraz poczucie szczęścia i dziwił się, że czekał na nie tak długo. Miałby oszczędzone lata upokorzeń i lata nadziei, że coś się w jego życiu odmieni. Nic się jednak odmiennie nie mogło i skoro przyszła ta chwila, gdy znalazł się na samym dnie — tu dopiero zjawiło się olśniewające wyjście. Pomyślał z gorczy, że oto i on osiągnął szczęście, nie tylko Róża — i że poczucie szczęścia może się zawierać na równi w miłości, jak w śmierci.

Gdy miał wyjść z pokoju Róży, podszedł jeszcze do biurka, na którym stała fotografia Marcina i Jacka z czasu ich dzieciństwa. Długo patrzył na swoich synów, dziś już dorosłych i obcych, po czym zgasił przedko lampę i wyszedł.

Musiał jeszcze stoczyć walkę z Józją, ponieważ nie chciał jeść kolacji — i że wstrętem teraz myślał o wełnie, którą jej nawijał na pasma, i o jej pieszczołliwym zwróceniu: „Dziuldziulku“. Zatrzasnął za Józją drzwi i nie zapalając światła, zrzucił z siebie ubranie, by się położyć. Wiedział, że Róża nie przedko wróci. Rozwazał, czy ma to zrobić teraz, czy później? Ogarnęła go nagła senność i zasnął od razu. Budzili go kroki Róży. Gdy spojrzał na zegarek, była już jedenasta.

Czuł się wypoczęty po krótkim śnie, teraz czekał, aż Róża się położy.

Około godziny pierwszej w nocy, gdy był pewien, że już śpi, wstał z łóżka i podszedł do drzwi jej pokoju. Spała.

Zdołał jej wyszeptać westchnieniem: „dziękuję ci, Rózo“, a potem zabrał się w pośpiechu do wykonania swego zamiaru.

Samobójstwo Juliusza Zborskiego, który powiesił się na drzwiach swego pokoju, było porczytane za objaw jego choroby i nikogo zbytnio nie dziwiło.

Natomiast zdziwienie wywołało to, że Róża Zborska zerwała z Bolesławem Stęgieniem i nie wyszła za niego za mąż, jak tego wszyscy się spodziewali. Nie samobójcza śmierć Juliusza była na ustach wszystkich, lecz nierozumna jakoby, dziwna, wręcz niepojęta decyzja Róży.

Dlaczego nastąpiło zerwanie ze Stęgieniem? Czyżby Róża aż tak kochała Juliusza? Wobec tego, co oznaczały jej długotrwałe związki z tamtym?

Nic w tej sprawie nie było pewnego. Róża, co najdziwniejsza i o czym mówiono równie powszechnie, zmieniła się zewnętrznie tak, że z trudem można ją było poznać. Jej jasne, piękne włosy posiwiały, jej młodzieńcza cera straciła świeżość, pomarszczyła się i zwiedla. Róża przytyła i wyglądała wręcz na starą kobietę.

W rok po samobójstwie Juliusza ożenił się Bolesław Stęgien. Pewnego dnia jesienią w dzień słoneczny, nasycony zapachem wilgotnej ziemi i liści, szedł przez park ze swoją młodą żoną. Z daleka zobaczyli wdowę po Juliuszu i Józję.

Wracały z cmentarza, szły wolno, z wielkim trudem, obie w ciężkiej żałobie i obie stare.

Bolesław Stęgien nie po raz pierwszy już mówił swej żonie o Juliuszu i Róży — i o tym, że w ich domu nastąpił prawdziwy koniec wielkiej wojny.

Stali teraz oboje blisko stawu. Woda płuśkała cicho o brzozi, a dookoła, pomiędzy alejami, widać pola czerwonej szalwii.

Patrzyli długo, nim w pustej alei zniknęła najpierw wierna opiekunka Juliusza. Za nią powoli oddalała się Róża.

Jerzy Zawiejski

OPOWIADANIE

K O N I E C
W O J N Y

wszelki rodzaj dystansu do rzeczywistości obozowej, którą niesposób przeżywać bezpośrednio i wprost, i niesposób całą pełnią moralnej wrażliwości ogarnąć jej grozy.

Juliusz był tym, który organizował koncerty i teatry, i któremu udało się też stworzyć coś w rodzaju klubu piłki nożnej. Nade wszystko jednak był przykładem swoistej bez troski, nigdy nie wyczerpany w humorze i dowcipnych pomysłach.

Ale to go właśnie zgubiło, bo przypadek do gustu Wintera. Zgubiła go też znajomość języka niemieckiego i języka francuskiego. Winter chciał mieć Juliusza, jako wesołego kompana swych nocnych zabaw i jako tłumacza wobec Francuzek, które przywożono z pobliskiego obozu dla kobiet.

Juliusz musiał pić na równi z Winterem, na równi z gestapowcami i innymi więźniami, których spotkał taki sam los. Ale i tu dokonywał wybiegu. Ponieważ nie mógł pić, więc zaproponował raz Winterowi, że będzie tańczył. Taniec Juliusza był jego improwizacją, jakimś groteskowym wyrazem gestów, by tylko rozśmieszyć i ubawić pijanych żołdaków. Po pewnym czasie Winter wzbogacił elementy tańca Juliusza. Kazał mu się rozebrać do naga; kazał się też rozebrać wszystkim, zmuszając do powtarzania ruchów tanecznych, jakie Juliusz wykonywał. Aby rzecz uczynić zabawniejszą Winter bił Juliusza szpiertą po ciele i zanosił się od śmiechu, gdy Juliusz uderzeń. Raz jednak zdarzyło się coś, co stało się przyczyną późniejszej choroby Juliusza. Winter wpadł we wściekłość, gdy Juliusz nie mógł już dłużej wykonywać swego tańca i wtedy to bił Juliusza po głowie ręką, szpiertą szpiertą. Bili go też inni gestapowcy dotąd, dopóki Juliusz nie zwałił się na podłogę, nieprzytomny, zalany krwią. Winter otworzył wówczas okno i z pierwszego piętra wyrzucił Juliusza na bruk. Juliusz ciężko zachorował i mało było nadziei, że będzie żył.

Wkrótce przyszły wojska alianckie i chorego Juliusza przewieziono do szpitala. Od czasu swej choroby stracił kontakt z Różą i nie wiedział, czy Róża żyje, czy ocalała w powstaniu?

Choroba Juliusza przebiegała i dla niego samego nieoczekiwane zmiany. Jeszcze w Niemczech nastąpił paraliż mowy, o czym mniemano, że jest to chwilowa komplikacja po zapaleniu mózgu, które przebył niedawno. Ale odezwały się też rzeczy dawno jak gdyby minione, które — jak pamiętał — zaszyli kilkakrotnie w dziesięć — to ataki epileptyczne. Były one w jakiś sposób spowodowane wydarzeniami w obozie, zwłaszcza tańcem, jaki Juliusz wykonywał w czasie Bijackich zabaw Wintera. Bał się zawsze tego tańca i drżał ze strachu przed każdą ucztą, na którą go wzywano. Lęk zniszczył w nim dawną wesołość, chodził po obozie osowiały i stracił nadzieję, że uda mu się ocalić życie.

Przebywał później w wielu szpitalach, badany jako ciekawy przypadek, pokazywany też studentom w wielkich, półkolistych amfiteatrach uniwersyteckich. Bał się swych ataków, zwłaszcza tańca, który niosł całą grozę uczt z Winte-

wkrótce zamilkł zupełnie, chociaż w szpitalach mógł się z ludźmi porozumiewać przy dobrej woli z ich strony. Nie chciała, by pisał na kartkach, gdy czegoś nie mogła zrozumieć z jego gestów, bo pisał z błędami, opuszczając sylaby, czasem przeinaczając wyrazy. Ponieważ Róża przyjmowała to ze zgrozą, więc przestał i w ten sposób z nią się komunikować. Najboleśniejsze było jednak to dla Juliusza, że Róża traktowała go jako obłąkanego. Taki jej się zapewne wydawał, zwłaszcza po spóźnionych reagowaniach na różne bodźce zewnętrzne. Więć Juliusz i na to przystał — i teraz już całkowicie stracił możliwość porozumiewania się z Różą. A przez nią stracił też możliwość porozumiewania się ze światem. Nie był obłąkany i żaden lekarz takiej diagnozy nie stawiał. To tylko konflikty Róży tak go zakwalifikowały.

Róża nie wiedziała, jakie są istotne źródła jego choroby, ani nie znała historii jego tańca. Nikt tej historii nie znał, a ci, co byli jej świadkami, dawno o niej zapomnieli.

— Więć Róża niczemu nie jest winna — stwierdzał Juliusz niejednokrotnie. — Jest najlepsza w świecie. Najlepsza i ukochana ponad wszystko.

Trzymał przed sobą gazetę i patrzył z uporem, mimo bólu w oczach na fotografię oficera w mundurze niemieckim.

— No, już czas, już czas na przechadzkę — posłyszał głos Józki.

Podawała mu palto, które czyściła szcztoką z kurzu, później czyściła też i kapelusz.

Gdy już był gotowy do wyjścia, Józka cofnęła się o krok, popatrzyła na niego z uwagą i powiedziała:

— Mój Dziuldziulku... Mój Dziuldziulku.

Poczem pocałowała Juliusza głośno w policzek. Józka, w chwilach wezbranej czułości, gdy mówiła „Dziuldziulku“, miała zawsze łzy w oczach.

Za progiem mieszkania Juliusz obejrzał się mimo woli na drzwi już zamknięte i spostrzegł na nich mosiężną tabliczkę z wrytym napisem: „Juliusz Zborski inżynier architekt“.

— Nie do wiary — pomyślał — a potem, stojąc u schyłu schodów stwierdził z wewnętrzzną mocą: — To się musi skończyć. — W ten sposób, nie wiedząc o tym, spotkał się z takim samym postanowieniem Róży.

Po wyjściu z domu szedł jej śladami. Minął najpierw ulicę Brzaskwinową, wąską i krętą, a potem Aleję Wyzwolenia dotarł do parku.

Znał miejsca, gdzie Róża spotykała się ze Stęgieniem, zwłaszcza drogę nad stawem, zakończoną lipami. O tej porze inaczej już park wyglądał niż z rana, gdy Róża tu była.

Słońce wydobywało z liści bogactwo ich barw, a drzewa zamierały w cieple, zasnuwane nitkami babiego lata. W powietrzu unosił się ciepki zapach wędgnących kwiatów i zapach stawu, nad którym ciągle stały obłoczki mgieł. Wszelko tu było nieco sennie, zastygające, ale odżywione rdzawo — czerwonymi kolorami, zwłaszcza w alejach, gdzie rosły buki i brzozy.

Juliusz ogarniał wzrokiem park i

książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki

Rozproszenie zamiast koncentracji



Do Hena przylgnęła łatka „pisarza wojskowego”. Łatka?... Nie ma zapewne potrzeby wyliczać dzieł i osiągnięć, które przyczyniły się do rozwoju literatury i klimatu wojny. Sprawy wojny, obrony kraju inspirowały największych pisarzy. Wszelako pisarze ci traktowali wojsko jako „pełnoprawną”, aczkolwiek różną od innych dziedzin życia, z całym spłotem skomplikowanych problemów, wielością postaw psychicznych, krzyżujących się działań ludzkich.

U Hena natomiast, podobnie jak i u kilku innych pisarzy „wojskowych” widać pewną, żeby tak rzec, specjalizację zawodową. Na pierwszy plan wysuwają oni funkcję użytkową tych utworów — co najczęściej przesądza o ich kształcie artystycznym. Plakatowość czy też jak kto woli, czytankowość, przylgnęła już w samym założeniu, jest moim zdaniem teoretycznym nieporozumieniem — i nastawienie to odbijało się dotychczas ujemnie na rozwoju piśmian Hena, którego nerw prozatorski, świeży liryzm, uczucie, na drobne realia — dążyły się przeciw wyrażeniu odczuć już w pierwszych publikacjach.

Obecnie Hen wyszedł poza dawne szranki i z miejsca wziął na siebie nie było jakie ciężar. Mam przed sobą powieść wieloplanową, której akcja toczy się równolegle w kilku skupiskach społecznych Warszawy, w pierwszym roku po wojnie. Pamiętamy dobrze ów tygiel 45-go roku, huśtawkę rozmaitych koncepcji i poglądów, burzliwe mieszanie się prądów ludzkich, najmniej oczekiwane odejścia i powroty. Z tym wszystkim mają po dziś dzień sporo roboty socjologowie — a cóż dopiero powieściopisarz.

Gdyby mnie w tej chwili ktoś przypisał do muru: „Odpowiedz, bez wykręcania się sianem, jaka jest powieść Hena, dobra czy zła” — nie mógłbym, mimo nacisku, użyć jednoznacznego określenia. Powiedziałbym: zepsuta. Zepsuta, przyjmując jako miarę dobre partie powieści, gdzie bogaty materiał uczuciowy i myślowy znalazł należyty mu wyraz artystyczny.

Pragnieniem autora było namalowanie szerokiego fresku społecznego — obyczajowego, któremu jako os kompozycyjną i — co ważniejsze — klucz do całości sytuacji miały posłużyć wielkie, przełomowe wydarzenia polityczne tego okresu. Hen przeoczył jednak fakt, że perspektywa, to zarówno pojęcie szerokości, rozległości, jak i — głębi; przy czym współzależność obu tych znaczeń jest oczywista. Chciał dać sumę, powiedzieć niemal wszystko; niestety rezygnacja z prawa wyboru spowodowała jedno z zasadniczych pęknięć tej książki. W rezultacie — osie nie wytrzymały ciężaru ładunku.

Obok fragmentów i scen, uzasadnionych w pełni potrzebą artystycznej wypowiedzi, umieścił autor, na zasadach równości, jawne, nieciekawe — oczywiście obiektywnie — Józef Hen: W dzielnym mieście. Powieść. Sp. Wyd. „Czytelnik”, 1954 r. Stron 379.

ważne! — obrazy, wprawił w ruch wiele postaci, które nie mają w książce żadnej racji istnienia, nieciekawe, ani jako ludzie „prywatni”, ani jako porte parole tych lub innych haseł.

Rozstrojenie powieści polega na tym, że stosuje się w niej sprawny aparat analizy psychiki i postępów ludzkich — i równocześnie kamerę kroniki filmowej, która „załatwia” w prosty sposób rozmaite zjawiska owego okresu np. repatriację, akcję ujawniania się, robienie błyskawicznych majątków przez prywatną inicjatywę, szaber, a nawet sytuację w sporcie, czego Hen, jako zasłużony zapaleńca, nie mógł sobie darować. Wypadał nawet tak — zauważył mimochodem — że bohaterowie „W dzielnym mieście” dzielą się, chyba bez świadomej intencji twórcy, wedle zasady, „Powiedz mi czy lubisz sport, a powiem ci kim jesteś!..” To zresztą tylko szczegół, po prostu zabawny i miły dla kogoś, kto zna pasję sportową Hena...

Ale teraz — uwaga! Powiedzieliśmy, że sprawy, które mogły być jedynie mocno ale bardzo krótko akcentowane, rzeczy historycznie ważne, lecz nieprzełożone na język artystyczny, usiłują tutaj współbrzmieć... z czym? Otóż właśnie. Dobrego, plastycznego, prozącego się wprost „o głos” materiału zgromadził Hen aż nadto dla zbudowania jednej solidnej powieści. A buciec to o nie było jakim ciężarem gatunkowym! Jesteśmy świadkami uderzającego paradoksu (na tle niemal całej twórczości prozatorskiej ostatnich lat): Hen bardzo słabo i niepewnie porusza się na terenie środowiska drobnomieszczańskiego, (któremu użył nieestetycznie tytułu) natomiast z dużą pasją, z ukochaniem tematu opisuje robotników, żołnierzy, młodzież walczącą o swe miejsce w nowym społeczeństwie. Od razu znika tutaj teatralna umowność postaci i sytuacji, miłkie rezonansy, język nabiera gęstości i rozpadu, zaczynamy naprawdę osobliwie obcować, czuć prawdziwą literaturę.

Hen pokazuje wielkie pobożniśko moralne, jakie pozostawiła po sobie okupacja — i to właśnie wśród ludzi pracy, inteligencji, sporego odłamu robotników, młodzieży. Mówi bez ostentacji o tym, co się działo w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu wewnątrz tej wielkiej masy, którą często nazywa się zbyt generalnie „klasą robotniczą”. Oto dźwiga się z upadku wielka fabryka, gdzie mają być produkowane traktory. Z jednej strony dezorientacja, bezwład, nieadresowane rozgłoszenie — z drugiej zaś ludzie, jeszcze często w mniejszości, jeszcze sami przeżywający różne wątpliwości, którzy usiłują wprowadzić jakiś ład organizacyjny, stworzyć przyczółek dla dalszych poczynań.

Autor, w tych partiach książki potrafił wywołać się z „czytankowej” rutyny, unikając niecierpliwego wykładania kart na stół. Działanie ludzi nie jest tu z góry zdeterminowane „ankietą personalną”,

czym demokracja ta jednak zyskała.

Konferencja udała się. Dyskusja była żywa i ciekawa. Mówili chłopcy i dziewczęta ze wsi i z zakładów pracy, nie dali się zagadać uczniem ze szkół, co tak często się zdarza na zetempowskich konferen-

często właśnie dzieje się odwrotnie jak np. w przypadku dyrektora Łańki, którego dawna działalność partyjna, sanacyjne więzienia uprawniają — we własnym jego mniemaniu — do „odegrania się”, korzystania z pełni życia natychmiast po obaleniu starego ustroju. W odwrotnym kierunku, z rodzinną kupiecką do partii, na wielki plac budowy socjalizmu biegnie droga zdemobilizowanego oficera Pierwszej Armii, głównego bohatera, w którym — powtórzmy to znowu — skupiają się podstawowe walory i słabości książki. Mam na myśli ciągle oscylowanie między własną, kompletnie ogłupioną przez interesy handlowe rodziną (to nieprawdziwy obraz) a światem nowych trudnych zadań, które życiu dają sens i właściwą rangę. Rzecz jasna, przeciwstawiając wspomniane dwie postacie, autor nie sugeruje żadnych tego rodzaju „prawidłowości” ludzkiego losu.

Z powieści Hena wynika — i ułamał on tego dowiedzieć środkami sztuki — że przewrót społeczny jest dopiero punktem wyjścia, a nie do-

konaniem, że modelowanie nowych stosunków międzyludzkich, kształtowanie wartości, o których mowa w programach — zaledwie się rozpoczyna. Dlatego szczerze uwidatniony jest moment czułego osamotnienia pozytywnych bohaterów; raz po raz ocieramy się o małe „tragedie optymistyczne”, które autor bądź pozostawia otwarte, bądź rozwiązuje — ale zawsze świadom różnych komplikacji, nie ułatwiając sobie życia.

Jakiekolwiek by można zgłaszać zarzuty wobec tej powieści, jest prawdą, że powstała ona nie z warsztatowo-etapowych kalkulacji, że nie jest sztucznie sklejona, lecz ma w autorze swoich „wewnętrznych rodziców”. Naturalnie to samo nie zapewnia jeszcze utworowi rezonansu wśród ludzi. Ale sądzę właśnie, że wiele z tego co miał do powiedzenia, potrafił tutaj Hen przekazać czytelnikom w stanie — że tak powiem — świeżym, skłonił ich wielokrotnie do zastanowienia i uczuciowego współuczestniczenia w losach swoich bohaterów.

Aleksander Ziemiński

TADEUSZ FANGRAT

W miasteczku rodzinnym
Petőfi

Miejsca urodzin wielkich ludzi
Nieraz cmentarny chłód opłata,
Tak je potrafi czas wystudzić,
Że popadają z życiem w zatarg.

A tutaj domek i sad w słońcu.
W domku otwarte drzwi na oścież,
Z sieni wesoły gwar się sący
Jakby serdeczni przyszli goście.

Przyszli w istocie. Patrzą chciw,
Na zgrzebne łóżko, na portrety...
I żaden z nich by się nie zdziwił,
Gdyby tu zabrzmiął głos poety.

Petőfi żyje w każdym sprzeczle,
W każdym zakątku okolicy,
Tam gdzie się w polu żuraw smęci,
Gdzie gzi się czardasz przy szklaniu.

Dziś go widziałem jak przy kroju
Na kursie pannom patronował
I jak spółdzielców w żniwnym boju
Karmił śpiewne wieszczka słowa.

Petőfi! Jakże mam wysławić
Dla ciebie wielki hold i podziw?
Nasz czas cię zwrócił narodowi,
Abyś na wielki mu przewodził.

Kiskőrös

Historia kobiety czystej

„Nieszczęścia pierwszej młodości przysięgam ci, że nie wyjdą z twojego życia”.

Bernardin de Saint Pierre
„Paweł i Wirginia”

Tomasz Hardy, powieściopisarz i poeta angielski ze schyłku ubiegłego i pierwszych lat naszego wieku nie jest polskim czytelnikom dostatecznie znany. Tłumaczono u nas bodaj obie jego powieści: „A pair of Blue Eyes” i „Tess of the d'Urbervilles”. Właśnie ostatnie to dzieło, którego konstrukcja fabularna opiera się na wspaniałym zyciorysie jednej postaci, wydał PIW w nowym przekładzie Róży Czechańskiej-Heymanowej.

Nazwisko bohaterki brzmi właściwie — tak jak i jej ojca, drobny dostawca wiejskiego — Durbeyfield. Tessa wyrosła na urodziwą wiejską dziewczynę, pracowała w polu, chodziła w niedzielę na nabożeństwo do miejscowego kościoła, żyła w kręgu spraw własnej rodziny i wioskowych sąsiadów — gdyby nie przypadek. Parający się heraldyką duchowny, szperacz wertyguty dawne księgi metrykalne wyjawia pijanemu Durbeyfieldowi, że jest odroślą rodu d'Urbervillów, którego początki sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy. Od momentu tego zaczyna się dla Tessy istne pasmo udręki. W okolicy żyją jacyś majętni d'Urbervillowie (komentarz autorski: ekskupy z północy kraju, którzy rozpoczęli nowe życie na południu Anglii pod nazwiskiem „nie tak prostacko krótkim, jak pierwotnie”). Do takich to właśnie d'Urbervillów idzie Tessa szukać pomocy materialnej dla rodziny. Młody panicz, Aleksander, przedstawiciel pokolenia, któremu przyszło już tylko trwonić zapobiegliwie gromadzone przez poprzedników bogactwa, uwiódł naiwną Tessę. Sprawa jej nieszczęścia zwraca się do niej, gdy nie jest już dziewczyną, ze słowami zamaskowaną pogardy: „Że postąpiłem, przynajmniej nie powinnaś tylko robić mi tych wiecznych wyrzutów. Jestem gotów zapłacić ci do ostatniego szeląga”. Dla tego nowobogackiego pseudo-arystokraty wszelkie wartości i sprawy dadzą się ująć w kategorię pieniądza.

Dziecko młodziutkiej niedoświadczonej matki umiera wkrótce po narodzeniu. Tę straszną noc potrafił Hardy ukazać tak plastycznie, tak prawdziwie, że nawet przy skąpej wyobraźni można ją odczuć wszystkim zmysłami. Tessa jest teraz wśród najbliższych zupełnie sama. „Otoczenie nie posmutniało z powodu jej nieszczęścia, ani też nie cierpiało z powodu jej bólu”. Silne przeżycia dotarły do jej struktury psychicznej, zarysowały się w fizjonomii. „Tessa z prostej dziewczyny przemieniła się nagle w kobietę skomplikowaną (...). Uroda jej zwracała uwagę, a dusza była duszą kobiety, której burzliwe przeżycia dwóch ostatnich lat nie zdołały zdemoralizować”. Tak kończy się

Tomasz Hardy: Tessa d'Urbervill. Historia kobiety czystej. Tłum. Róża Czechańska-Heymanowa. Postawie Grzegorza Sinka. PIW, 1954, s. 508.

pierwszy — nie licząc dzieciństwa — etap życia Tessy. Po raz drugi pragnąc uratować rodzinę od głodu, obejmuje ona pracę w farmie mleczarskiej. Odbywa tu również praktykę najmłodszy syn pastora Clare, Angel.

Subtelny, nieśmiały, przeorany głęboko cierpieniem charakter Tessy zbliża ją do Angeli. To zbliżenie, to spotkanie na swej drodze kogoś, komu bez obawy można powierzyć własne przeżycia i troski, ma dla samotnej diad Tessy znaczenie ogromne. „W ciągu całego swego życia nigdy nie czuła się tak szczęśliwą jak obecnie”. Hardy nie poprzestaje jednak na tym stwierdzeniu. Dodaje natychmiast komentarz, który zamęci w świadomości czytelnika harmonię szczęścia w scenach przed chwilą właśnie odczytanych. Komentarz wybiega daleko naprzód, antycypuje akcję: „i prawdopodobnie nie nigdy nie będzie równie szczęśliwa”. Powiedzmy od razu: powieść Tomasza Hardyego utrzymać na jest w nurcie realistycznych tradycji prozy angielskiej. Nieliczne naloży impresjonizmu, naturalistyczne przekształcenia — to już echo dążeń artystycznych epoki. Ale realizm u twórcy nie tylko nimi jest osłabiony. W znacznej mierze realistyczną architekturę powieści osłabiają pęknięcia filozoficzne: błędna koncepcja losu ludzkiego. Koncepcja fatalistyczna. Cofnijmy się do pierwszych kart powieści, gdy Tessa jest wiejską dziewczyną. Pozostałaby

nią, gdyby nie odkrycie miejscowego pastora, gdyby nie wypadek z koniem — żywicielem rodziny, który ją ostatecznie zmusił do szukania pomocy w kupieckiej linii d'Urbervillów. Postępowanie bohaterów, a szczególnie Tessy paraliżuje fatalizm. Jej los jest od początku do końca ukształtowany i nie już się na to nie poradzi — myśl taką sugeruje autor wyraźnie. I z trybu przypuszczającego, że Tessa „prawdopodobnie nie będzie nigdy równie szczęśliwa” prowadzi nas Hardy w krąg rzeczy dokonanych. Zanim Tessa posłubi Angeli, pragnie ukazać mu swą przeszłość. Robi to jednak dopiero w noc posłubną po niezbyt budujących wyznaniach męża. Zostaje przezeń odepchnięta. Angel opuszcza kraj. Otóż bunt jego przeciw mieszczańskiemu środowisku od początku wydawał się jakś niezbyt jasny, niepełny, czysto werbalny, trochę można by się w nim doszukać młodzieńczej przekory, która przy praktycznym zerknięciu z życiem łatwo ustąpi miejsca przyjętym normom społecznym i obyczajowym. Angel Clare to tylko pozorny buntownik. Nie potrafi zdobyć się na przebaczenie, w obawie przed skandalem burzy ledwo poczęte szczęście swoje i Tessy. Wprawdzie Hardy twierdzi, iż „miłość Clare'a była jednak zbyt wysubtelniona, oparta aż do przesady na wyobraźni (...). dla takich natur obojętność cielesna bywa czasem mniej pociągająca niż rozłąka” — ale wyjaśnienie to nie zadowala w pełni.

Clare złąkł się poważnego konfliktu między życiem Tessy do dnia ślubu a zakłamaną etyką mieszczańską. Przez lata pobytu w Brazylii nie zauroczył się o żonę ani razu. Wracając więc Tessa do domu z niewygasłą, ciągłą żarliwą miłością do Angeli, zarabia po farmach na własne i rodzinne utrzymanie. Jej bogate życie wewnętrzne, jej twarz rzeźbiona cierpieniem jaskrawo kolidują z tępotą i prostactwem zadowolonych z siebie, bogatych chlebobdawców. Ten okres życia Tessy stał się dla Hardy'ego szczególną okazją do odmalowania realistycznego obrazu „wsi angielskiej schyłku XIX wieku, obrazu jak najbardziej dalekiego od sielanki.

Opięka, jaką rozciął nad matką i rodzeństwem uwodził Tessę, skłania ją w chwili rozpaczy i biernego odepnięcia do zamieszkania z nim. Niespodziewany powrót Angeli i niewyrzucenie mu drwiny ze strony d'Urbervillów przynosi Tessę do czynu szaleńczego; zabija tego, który stał się „między nami dwójkiem” — mówi do Angeli — i zniszczył nasze życie”.

Ala czy rzeczywiście tu należy szukać głównej przyczyny nieszczęść? Oboje z Angielem wiedzą, że dni Tessy są już policzone. Toteż uciekając przez lasy i odludzia żyją z intensywnością maksymalną, błądzą w miłosnym zachwycie jak współczesny Tristan i Izolda. Słuszny im w czasie tej wędrówki wszystkim, a już najbardziej — przyrodą. Policja zostaje ich uśpionych pośród omszałych kolumn pradawnej świątyni druidów. Czarna chorągiew wyznaczona w górnym ołoku wieżowej baszty obwieszcza śmierć Tessy — ostatnie wydarzenie w „historii kobiety czystej”.

Tessa jest arcydziełem Tomasza Hardy'ego, jest postacią niezapomnianą, wbrew pozorom — najwarściowszą spośród wszystkich bohaterów książki. Nie dziwi nas wcale oburzenie purytańskiej publiczności z powodu sympatii, jaką oddarza autor skrzywdzoną Tessę (tak bowiem przyjęto wydaną w roku 1891 książkę). Tak bardzo przychodzi nam myśl — w związku z „historią kobiety czystej” — słowa Romain Rollanda: „Cała ta mieszczańska moralność, pozabawiona wielkości, piękności, szczęścia, wszystkiego co jest wstrętne i szkodliwe: czyni bardziej ludzkim wstępki niż cnotę” („Jan Krzysztof”).

Kazimierz Dziewanowski

Ryszard Wasila

Pamiętnik z za prezydialnego stołu

(Dokończenie ze str. 2)

ciach. Ocena ZW była bardzo pozytywna. A jednak... Jednak gdy na mównicę wchodził przedstawiciel wsi, wiedziało się co powie: trochę o produkcji, trochę o podstawach, poskarży się na trudności świetlicowe, na chuligaństwo i na to, że dawno niekt z Zarządu Powiatowego u nich nie był, i tak w kółko. Dlaczego?

Dlatego pewnie, że żaden z tych przewoźniczych czy aktywistów wiejskich kół nie wie właściwie co powinien robić ZMP. A nie wie dlatego, że ma robić wszystko — a więc trochę przy produkcji, trochę przy podstawach, trochę w świetlicy. Przyszła mi wtedy do głowy pewna myśl. Czy nie należałoby przemyśleć następującej propozycji: oprać działalność ZMP na wsi o świetlicę i postawić ją w centrum uwagi organizacji.

Sześć lat temu doświadczenie ZMP uczy, że niemożliwe jest na ogół prawdziwe zainteresowanie wiejskiej młodzieży organizacją, ożywienie jej życia — bez dobrej podstawionej pracy kulturalno - świetlicowej. Moim zdaniem powinno się sprawę postawić tak: przewodniczący Zarządu Powiatowego powinien wiedzieć, że najpilniejszym (tym razem bez cudzołóstwa) jego zadaniem jest osiągnięcie takiego stanu, by w każdej gromadzie koło ZMP przyciągnęło młodzież do świetlicy, zorganizowało zespół świetlicy itd. Takie postawienie sprawy poruszyłoby tysiące młodzieży nieobjętej przez ZMP lub objętej tylko formalnie. Świetlica to oczywiście nie cel, lecz środek. Ale jest to środek, który umożliwiłby potem popularyzację wiedzy rolniczej, szkolenie ideologiczne — jednym słowem szersze i pełniejsze wychowanie młodzieży.

SPOWIEDŹ AKTYWISTY CZYLI
TOAST ZA ZMP

Konferencja się skończyła, a my posłaliśmy z przewodniczącym i z „ojcami powiatu” na prywatną „biębę”. Wybacze mi, o aktywistach!

którzy nie wiedzą co znaczy to słowo w cudzołóstwie.

I wtedy to, przy czwartym kieliszku, przewodniczący zaczął swą spowiedź. Spowiedź powiatowego aktywisty.

— Jestem urzędnikiem — zaczął. — Urzędnikiem do spraw młodzieży. Urzęduję, a nie tak powinienem pracować z młodzieżą. Bardzo chciałbym się uczyć. Bo cóż ja umiem? Te parę klas, które skończyłem to bardzo mało. Czy chciałbym stąd odejść? Dokąd? Może pójść kiedyś do województwa. Na moje miejsce przyjdzie tu wówczas ktoś inny, kto tak jak ja będzie urzędował. Działacz nie powinien przecież tylko ustawiać, zagagać, podsumowywać. Powinien być człowiekiem kulturalnym, czytającym, umiejącym opowiedzieć młodzieży o Karolu Marksie i o Staszku Marsarzu, o powiatowym programie Frontu Narodowego, o tym jak powstało życie na ziemi i o tym jak żyją ludzie w Sudanie. A ja co? Widzę jak ludzie, których zatwierdziliśmy na prezydium, kiedy wstępowali do organizacji, idą na wyższe uczelnie, do pracy, a mnie, kierownika młodzieży na powiecie zostawiają z tyłu, daleko z tyłu. To smutny los.

ZMP jest pierwszym pomocnikiem Partii. Ale czy to znaczy, że ZMP ma brać udział we wszystkich akcjach, że musi robić to wszystko co Partia? Czy Zarząd Powiatowy musi ustawiać swą pracę stosownie do każdorazowych wytycznych państwowych w sprawie mleka i żywności, kompleksowego oszczędzania i walki ze stonką ziemniaczaną? Czy też ZMP ma wychowywać młodzież i w ten sposób być prawą ręką Partii? A jak wychowywać? Czy tylko przy przeprowadzaniu akcji? Czy też powinno być postawione jakieś główne zetempowskie zadanie, któremu musiałby być podporządkowane wszystkie inne? Bo dziś tych zadań jest tyle, a każde określone w instrukcjach ZW i ZG jako „najważniejsze”, „niezwykle ważne”, „najpilniejsze”?

W powodzi najpilniejszych zadań tracimy nieważne, chwytając to za jedno, to za drugie... Tak dalej być nie może... Tu urwał.

Rozumiem go, powiedziałby wysłannikowi ZG bardzo dużo, a nie przyznawali się jeszcze do tego, że w młodzieżowej organizacji krytyka jest chroniona i popierana.

Dlatego pragnę sam dokończyć jego myśl. Dlatego w jego imieniu — dobrego, oddanego aktywisty zetempowskiego i swoim własnym chęć postawić pytanie:

Czy on, przewodniczący ZP w Szczecinie może być w pełni wychowawcą młodzieży? A jeśli nie, to czemu? Wszak wina leży w malej tylko części po jego stronie. Po stronie człowieka, który nie ma czasu uprać koszuli i pójść do kina.

Czy ZMP nie przypomina chwilami armii, która działając w różnych kierunkach, nie koncentrując decydujących sił na głównym kierunku zatracza przez to świadomość gdzie leży zwycięstwo?

Nie jestem wrogiem różnorodności, na pewno ważnych akcji i zadań gospodarczych, ale jestem świadom, że w i a d o m y m przeciwnikiem n i e s ą w i a d o m e g o powierzchniowego, mechanicznego „włączania się” do nich.

Nie jestem wrogiem tych różnorodnych akcji, ale uważam, że trzeba walczyć o to, aby w pracy organizacji młodzieżowych przestały one być traktowane jako cel sam w sobie. Wiele z tych akcji z pożytkiem będzie mogło spełniać swoją rolę w ZMP rolę pod warunkiem, że będą one traktowane przede wszystkim jako środek do osiągnięcia głównych celów wychowawczych.

*

Tu koniec pamiętnika. Wybacze towarzysze z ZG ZMP, że stałem się może nieco kłopotliwym pełnomocnikiem powiatowym. Sądzę jednak, że pamiętnik to nieźle mimo wszystko, bo szczerą formą wypowiedzi w dyskusji.

10 NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK DZIESIĘCIOLECIA

KARTA PLEBISCYTOWA

Imię i nazwisko autora	Tytuł książki
1	
2	
3	
4	
5	
6	
7	
8	
9	
10	
Imię i nazwisko czytelnika	
Zawód	
Adres	

WŁADYSŁAW KOPALIŃSKI

NOWA MEDYCyna

Z dawna trzymano Stasia na ostrej dyjecie. Wreszcie, choć bólów nie miał, tak zesłabiał przecie. Ze wołano doktora. Ten pacjenta bada: wychylił, ledwo zipse... „A co chłopiec jada? „Kleik“, matka odpowie, „ale próżna praca „karmić go, bo jeść nie chce, a jak zje, to zwraca“, „Kleik?“ wykrzyknął lekarz, „a dajcież mu wino“, „czerwonego, bo gotów wam zemrzeć chłopczyka!“ Zdumiał się ojciec, ręce załamuje matka: „Konsylijarzu“, przebóg! Któż dziesięciolatka „winem poi? Gdy raz się do trunków naloży, „w nierzęd, w rymszok się stoczy, albo jeszcze gorzej!“ Ow zaś: „Po wino pójście i rozum do głowy!“ Wyszedł i grosza nie wziął, bo był urzędowy.

Fraszki

GABRIEL KARSKI

O pani piszącej

„Nad mą głową rozbili się bania z poezją!“
Pewna kłopotliwa pisząca rzecze do mnie pani.
Widzę, że ten doniosły fakt wzrusza do łez ją.
Mnie też: bo jej poezja właśnie jest do bani.

STANISŁAW JERZY LEC

* * *
Planie hymnów i peanów
to specjalność grafomanów.
Ośmieszają tym bożyszcze
mocniej niż satyry mistrze.

O niektórych nagrodach

W ten sposób z czasem się wychowa
Literatura na(g)rodowa.

TADEUSZ GIGIER

O pewnym dygnitarzu

To kłamstwo, że od prostych panów stroni ludzi;
wszak co rano poleca się dorozry zbudzić,

Pyszałek

Zadziiera nosa młody chwał,
jakby rozumów tysiąc zjadł,
w tej liczbie (wierzcie, to nie pozór)
i swój zjadł najwidoczniej rozum.

ZA GRANICĄ

„SOWIETSKAJA KULTURA“ drukuje ostatnio wypowiedzi dyskusyjne na temat Wszechzwiązkowej Rady Pracowników Wydawnictw i Zakładów Poligraficznych, która ma się odbyć wiosną br. w Moskwie. Dyskutancl wskazują m. in. na fakt, że jedno z ważniejszych wydawnictw, mianowicie wydawnictwo „Iskusstwo“ (Sztuka), rokrocznie nie wykonuje planu — głównie dlatego, że dotychczasowe planowanie odbywało się nie na podstawie gotowych, lecz projektowanych prac. Co więcej: niejednokrotnie prace złożone w wydawnictwie leżały tam latami i wskutek „zmiany kryteriów“ musiały być przerabiane. Wyglądanie kwestii spornych doprowadzało często do tego, że książki nawet po drugiej korekcie usuwano z planu. Dyskutancl krytykują dążenie wydawnictwa do „polerowania“, które zuboża prace poświęcone zagadnieniom sztuki. Ludzie teatru, opery i baletu domagają się od wydawnictwa „Iskusstwo“ reedycji niedostępnych druków z XVIII i XIX w. dotyczących ich warsztatu. Pociągają się na Gorkiego, który zorientował wydawnictwo „Biblioteka poety“ wychodzące po dziś dzień i mające ogromne praktyczne znaczenie dla poetów: proponują założenie „Biblioteki aktora“, która uprzywilejowałaby działaczom sceny cenne prace teoretyczne i białe knuki, dostępne tylko dla wybranych. I to, w największym ośrodkach kulturalnych. (t)

SS-TON — to nowy termin w prasie zachodnio-niemieckiej. Jak zauważa „Freies Volk“, organ Komunistycznej Partii Niemiec, byli hitlerowcy przemawiają w „tonie SS“ również w sprawach kultury. Ostatnio, na wiadomość, że Tomasz Mann zapowiedział swój udział w przeczytaniu w Berlinie wierszy Schillerowskich w Weimarze (NRD), dziennik „Rheinischer Merkur“, który jest tubą Adenauera, wybuchnął: „Naturalnie Tomasz Mann musi również przedstawiać głowę... Rycerzom o tak ponurym obliczu nie powinniśmy w ogóle pozwalać na zabieranie głosu na mównicach zachodnio-niemieckich. „Freies Volk“ komentując powyższe, przypomina słynne powiedzenie hitlerowskich przywódców: „Wenn ich das Wort Kultur habe, so spreche ich von meinen Revolver“ („Gdy słyszę słowo kultura — odbezpieczam rewolwer“). (a)

WIAZIEK PISARZY GRECKICH ogłosił w ateńskim czasopiśmie „Argiri“ protest przeciw terrorowi kulturalnemu. W protestie tym stwierdza, że policja konfiskuje w księgarniach dzieła Hugo, Balzaka i Gołgo. (a)

RZĄD LI SYN-MANA ogłosił, że w grudniu ub. r. podczas pożaru w Pusanie spłonęło ok. 3.400 eksponatów muzealnych, w tym m. in. srebrne przedmioty zabytkowe oraz starożytna porcelana z Pusanu odnalazły się właśnie na wystawach koreańskich, urządzanych przez muzea Stanów Zjednoczonych. Właścicielami tych przedmiotów, rzekomo spalonych, są obecnie nie tylko muzea i galerie amerykańskie, lecz także osoby prywatne. (a)

LITERARNI NOVINY, tygodnik Związku Literatów Czechosłowackich, przeprowadził z końcem ub. r. ankietę na temat „najpopularniejszą książką w Czechosłowacji w roku

1954“. Na pierwsze miejsce wysunęły się w głosach czytelników: tom wierszy J. Kainara pt. „Czeski sen“ oraz powieści R. Raczca „Powrót“ i „Bitwa“. Z książek polskich, jak wynika z ankiety, najwięcej popularnością w Czechosłowacji cieszą się „Pamiętniki z Celuzoy“ R. Raczca, „Obywatele“ K. Brandysa i „Parasol“ Prusa. Wymieniano również „Chłopów Reymonta i Sienkiewicza „Quo Vadis“.

„SOSO“ HELENY BOBIN-SKIEJ ukazał się ostatnio w czeskim przekładzie H. Teigowej w Państwowym Wydawnictwie Książek dla Dzieci w Pradze. Książka zdobyła sobie z miejsca popularność wśród młodych czytelników. W Strzibrze (miasto powiatowe nieopodal Pilzna) odbyła się niedawno dyskusja młodzieżowa na temat „Soso“. W dyskusji wzięło udział 150 młodych delegatów całego powiatu. Podobna dyskusja, zorganizowana przez Związek Młodzieży Czechosłowackiej, odbędzie się w Pilźnie. (b)

„S. VAMI JSEM ZIVOT“ — tytuł wyboru poezji Słowackiego w czeskim przekładzie Hanny Jechovej. Wydawał Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej w Pradze. (a)

NA WĘGRZACH powstało osobne wydawnictwo Związku Pisarzy Węgierskich pn. „Siewca“ („Magretó“). Wydawnictwo to, kierowane przez zwierzchnią administrację węgierskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki. Głównym zadaniem „Siewcy“ jest popieranie współczesnej literatury węgierskiej. (s)

TEATR NARODOWY W BUDAPEŚCIE wystawił po raz pierwszy po wojnie „Tragedię ludzkostki“ Imre Madachy. Dramat ten, nazwany „węgierskim Faustem“, inscenizacja wywołała żywą dyskusję na temat węgierskiego teatru narodowego. (s)

„KRZYŻACY“ Stenikiewicza w węgierskim przekładzie Istvána Meszarosa — wywołał żywą dyskusję wśród literatów węgierskich i językowców. W kwestionariuszu archaizacji języka przekładu. Długa dyskusja, która opóźniła wydanie książki, skonczyła się zwycięstwem tłumacza. (s)

GYORGY SOMLYO, młody poeta węgierski, wydał notatki z podróży po Polsce pt. „Wielka Syrena“ (Wydawnictwo „Szepirolim“). (s)

POŁONICA w NRD. W przekładach na język niemiecki ukazały się ostatnio dwa książki: „Dzień i noc“ i „Gorące serce“ Ambinanał Ark. Fiedlera (wyd. Sachsenverlag — Diezno, i Neues Leben — Berlin). Tytuł „Heißes Dorf auf Madagaskar“ (Złoty krzyż i „Jeremie“) (wyd. Union Verlag). (a)

CELA SMERCI 2455. Sensacyjny bestseller słynnego gangstera Caryl Chessmana. Nigdy dotąd nie było takiej książki. To nie romans napisany przez zionomni biurko. To książka, która sama życie napisała — na żelaznym stole celli śmierci nr 2455 w więzieniu Saint-Quentin w Kalifornii. To tam autor od sześciu lat czeka na swoje powieszenie. 320 stron, 38 sztylingów brosz. W piśmie 58 sz. (ogłoszenie

Jednej z firm księgarskich w wiedeńskiej gazecie „Neue Wiener Tageszeitung“, Podkreślenia, jak w oryginale. (a)

MICKEY SPILANE jest „światowej sławy autorem“ i milionerem amerykańskim, który się dorobił krociowo majątkiem na najbardziej krwiożerczych „kryminałach“. (Jak wynika z reklam jego książek, przeciętny Europejczyk nie ma w ogóle pojęcia o „osłagnięciach“ M. Spilane. Zm. Christopher La Farge, to krytyk, który się zdobył na odwagę ogłoszenia w tygodniku nowojorskim eseju krytycznego pt. „Mickey Spilane i jego krwawy młot“. Część czytelników „Saturday Review“ wypowiedziała się przeciw La Fargowi. Inni mają te same zastrzeżenia do M. Spilane, co La Farge. Jeden z krytyków uważa, że krytyka to „mackartyzm“. Drugi natomiast, zaskakując się z krytyką moralności dyskusji, Spilane'a przeprowadzoną przez La Fargę, pisze: „Chciałbym, aby wasz magazyn poświęcił kiedyś cały numer tematowi gwałtów w telewizji, radiu, filmie... Co odpowiedział na ten krwawy terror? Dokąd to wszystko prowadzi?“ (a)

JOHN STEINBECK, kiedyś pisarz postępowy, obecnie jeden z autorów tzw. wojny przewrótowej — w r. 1947 po powrocie z podróży do ZSRR: „Byłem zdumiony: wielu pisarzy i zwykłych czytelników miało lepsze pojęcie o literaturze zagranicznej, niż ja. Byłem zdumiony tym, jak wielu czytało moje książki“. Tenże Steinbeck obecnie: „Kiedy byłem w Rosji spłoszony, że żaden z pisarzy nigdy nie przeczytał ani jednej mojej książki“. I tenże Steinbeck w międzyczasie (1950): „Co to jest pisarz, względnie artysta? To coś pośredniego między małpą a człowiekiem“. („Neuer Weg“). (a)

METROPOLITAN OPERA w Nowym Jorku, ciesząca się światową sławą, walczy od dłuższego czasu z poważnymi trudnościami natury finansowej. Nie umniejsza tych trudności fakt, że w gmachu opery znajduje się luksusowa restauracja, w której można otrzymać zlezione groszek a la Aida, Figaro-deser itp. Wyszukane dania mające zasilić kasę opery. Sytuacja jest dramatyczna, nawet mimo wprowadzenia do jadłospisu szampana i kawioru. Ostatnio, ażeby ratować istnienie Metropolitanu, „generałny menadżer“ mr Bing stwierdził, że należy stosować nowe metody gry i organizacji programów. Przedsiedzącemu mr Binga powiodło się. Sala w Metropolitanu opery ma być przedstawienu składanym, podczas którego „dostosowano do siebie duchem“ I akt „Cyganki“, II akt „Cyrulika se-wilskiego“ i II akt „Aldy“ — bym wypelniał po brzegi. Entuzjazm publiczności doszedł do zenitu zwłaszcza wtedy, gdy po triumfalnej uwerturze do „Aldy“ przez głosniki rozległo się miastotrafienie: „Czy ma pan wystarczący zapas zyletek w domu?“... Okazało się, że każdy numer programu Metropolitanu opisy reklamował inną firmę. Pisząc o tym w „New York Herald Tribune“ krytyk amerykański Henry Lang zauważył: „Nasi politycy sprzedali się już celom reklamowym przemysłu. Teraz przyszedł kolej na sztukę, a jutro przyszedł kolej na uniwersytety, kościoły i trybunały sądowe. Cokolwiek by się rzekło, Metropolitanu opery daje dobry początek“. (a)

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Stoń a kwestie polskie

Problem „co autor miał na myśli pisać“ itd. został już dawno i doszczętnie skompromitowany. Wszyscy, którzy w szkole pod grozą oceny niedostatecznej musieli pocić się nad odpowiedziami na to pytanie, dorwawszy się później w jakikolwiek sposób do pióra, drwili z niego bezżalnie i... bezskutecznie. Bo jakkolwiekbyśmy chcieli wymijać to pytanie, ubierać je w bar-dziej skomplikowane i uczone szaty, zawsze przecież w końcu, na którymś tam szczeblu zastanowienia nad dziełem sztuki spotkamy owo stare i znajome: „co autor miał na myśli?“ Co miał na myśli Goya rysując człowieka dźwigającego ośło? Co miał na myśli Rembrandt malując polce mięsa? Co miał na myśli Rumbald pisząc „Starek pijany?“ Co znaczy — „A4“?

Czytając dzieła lub oglądając prace niektórych współczesnych autorów możemy niekiedy uniknąć tego pytania, ale dzieje się tak nie tylko dlatego, że współczesna sztuka realistyczna dąży do konkretności obrazu, lecz i dlatego również, że nie zawsze autorzy mają wiele na myśli.

W dziełach wybitnych jednak problem ten wcale nie znika. Sztuka obciążona poważnym ładunkiem intelektualnym często poszukuje odwołań do wzbogacającej wizję symboliki, metafory, skojarzenia, i znów możemy pytać, co znaczą zew-sowe twarze na rysunkach Picassa, nieoczekiwane skojarzenia u Majakovskiego czy ekspresyjno — mistyczne metafory u Eisensteina.

Co znaczy stoń w filmie Francioliniego „Witaj stoni!“ — nakręconym z udziałem Vittorio De Siki? Lub lepiej, nie „co znaczy“, ale po co się w tym filmie znalazł, jaka jest rola tego bądź co bądź niecodziennego zwierzęcia w mieszkaniu ubożego nauczyciela na czwartym piętrze czynszowej kamienicy?

Wydaje mi się, że istnieje coś, co nazywać można logiką sztuki, i co, przy najbardziej nawet rygorystycznym postulatcie realizmizmu, zachowuje pewną autonomię wobec codziennej logiki życia. Nie każde-mu zdarza się widzieć na własne oczy Chrystusa, ale przecież Alecsander Blok zobaczył go na czelu pochodu, z krwawą chorągwią w ręku i umieścił w poemacie „Dwunastu“ (podobno, gdy pytano Bloka skąd się wziął Chrystus w tym jego wierszu o rewolucji, poeta odpowiedział zdziwiony: „przecież go tam widziałem“); nie istnieje zapewne społeczeństwo ludzkich o wzroście pół metra, a jednak opisał je Swift; posągi przeważnie nie chodzą o własnych siłach, ale Molier kazał przysięść posagowi Komandora do mieszkanka Don Juana. I we wszystkich tych wypadkach owe widoczne z punktu widzenia logiki codziennego życia nieprawdopodobieństwa nie razią nas ani nie obrażają naszego zmysłu rozsądku, są bowiem zgodne z logiką sztuki, służą takiej kompozycji artystycznej o-brazu, która pozwala na pełniejsze, doskonalsze wyjawienie rzeczywistości, prawdy tego właśnie realnego życia, z którym pozornie pozostają w niezgodzie.

Ala wróćmy do stonia, i skoro już zaczęliśmy od skompromitowanego pytania, postawmy jeszcze jedno z tej kategorii: co by było, gdyby go nie było w filmie. A więc jest rodzina ubożego nauczyciela. Nie mają z czego żyć, nie mają czym zapłacić za komorne, za co kupić ubrania. Czas mija — mają coraz mniej. W końcu nie mają nic. Koniec, smutny koniec. Początkowo zachowują się może ową niezamąconą pogodą ducha, która cechuje pana Garetti w genialnej interpretacji aktorskiej De Siki. Później coraz cięższe warunki życia odbierają rodzinie jej optymizm, może nawet niweczą miłość dwojga małżonków. Być może zresztą,

że nie. Otrzymujemy wtedy obraz wzorowej rodziny — kompletnie zrujnowanej, lecz kochającej się. Otrzymujemy pochwałę uczucia. Rodzina pozbawiona jest wszystkiego co niezbędne do życia i co składa się na pojęcie dobrobytu. I ma również coś absolutnie zbytecznego — tego właśnie stonia. Dzieci, które nie posiadają butów, są właścicielami zabawki, jakiej nie ma żadne dziecko na świecie. Sytuacja absurdalna, ale sytuacja brzemien-na w skutki i dramatyczne i moralne.

Stoń jest zbędny w świecie wymiennych i wymiennych na liry trosk rodziny nauczyciela. Ale na tym właśnie stoniu wjeżdżamy w nowe dziedziny — w sferę wartości moralnych, uczuciowych, niewymiennych. Wprowadza on element nie-materyjalnego luksusu życiowego, jakim jest radość, uczucie, fantazja. Jego obecność rzuca nowy, ostry snop światła na życie wewnętrzne bohatera filmu — nauczyciela Garretti. Tłumaczy motyw jego pogody ducha, zasadzające się na bezinteresownej, humanistycznej miłości do świata, przyrody, ludzi. Tym samym wyjaśnia głębokie podstawy, na których zasadza się miłość pani Garretti do męża — nie podobna, mimo całego ciężaru życia, nie kochać człowieka, który bez wahania ofiarowuje swoim dzieciom indyjskiego zwierza po to tylko, by je uszczęśliwić. A więc stoń jest tu katalizatorem, przyspieszającym przebieg i eksplikację całej filozofii filmu — tezy o szacunku dla wartości bezcennych, bo niewymiennych.

Czy te wartości nie istniały w bohaterach filmu już wcześniej? — Tu zaczyna się całe nieporozumienie nie ze stoniem w kwestiach polskich. Nieporozumienie, polegające na tym, że przyjęło się u nas upatrywać w wykryciu czegoś, co absurdalne, co dziwne, niecodienne, recepty na pozbycie się starych filmowych kłopotów z tym, co realne, prawdziwe. Mówi się u nas (bo ów stoń przyszył się już w żargonie filmowym): — „mam pomysł na film, fajny, ze stoniem“. Po chwili zaś okazuje się przezwrotnie, że „stoń“ — coś dziwnego, zaskakującego — istotnie jest, ale pomysłu nie ma, bo nie ma życia, prawdy, nie ma tych składników, które stoń-katalizator może pobudzić do reagowania. A z pustego i stoń nie należy.

Jeśli ktoś nie widzi realnego życia i realnych ludzi, często pociesza się, że zastąpi ten brak czymś nierealnym, wymyślonym. Jakże grubo się myli! Owo wymyślone bowiem — stoń lub też tak zwana przez fachowców „historijka“ — same przez się nie wnoszą, nie czego nie tworzą, a nade wszystko nie wyzwalają od rzeczywistości. Dobrze, po mistrzowsku zastosowane mogą one jedynie odnowić, odświeżyć spojrzenie na tę rzeczywistość, którą się zna i umie pokazywać w sztuce. Rzeczywistość psychologiczną i społeczną, w jakiej żyje człowiek.

W filmie Francioliniego, stoń wyzwała nie tylko pokładaj prawdy w bohaterach. Jest on okazją do syntetycznej charakterystyki stosunków społecznych, pretekstem dla nocnej przechadzki po Rzymie, powodem wizyty w klasztorze, motywem przemówienia do strajkujących nauczycieli, i bodaj czy nie podstawą dla leciutkiej drwiny z idealistycznego, utopijnego i ponadklasowego humanizmu. Czy przy-niósł on te treści ze sobą? Czy też reżiser, scenarzysta i aktor wiedzieli o nich już wcześniej, z okazji zaś stonia zademonstrowali je widzowi?

Chcemu w snracjach polskich stonia, którzy odświeży prawdę. Do bani ze stoniem, który ma ją za stąpić.

Krzysztof T. Toplewitz

Kacik gaffologa

Z początku się rozbierzmy

Kim jest Bertolt Brecht, jeżeli w programie Państwowego Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, gdzie wystawiono „Kaukaskie kredowe koło“ Z. Krawczykowski uznany został za d r a m a t u r g a? Co teraz począć z ogólnie przyjętym, dla wszystkich zrozumiałym terminem „dramaturg“, powszechnie dotąd używanym w stosunku do autorów sztuk teatralnych? Domyślać się trzeba, że w Krakowie termin ten stosować się ma do (niezwykle potrzebnych i godnych szacunku) osób, które jeszcze za młodych lat Ludwika Solskiego nazywano kierownikami literackimi.

To prawda, że po niemiecku „Dramaturg“ oznacza kierownika literackiego, lecz „Buehrendichter“, rzadziej — „Dramatiker“, oznacza dramaturga. A gdyby tak jakiś domorosły rusycysta zamiast mówić: „najpierw rozpatrzmy sprawę, a potem wyciągnijmy wnioski“ — u-pierał się przy zwrocie „z p o c z a t k u się rozbierzmy, a potem będziemy dokazywać?“ — Przecież istotnie, odnośny zwrot brzmi po rosyjsku „s naczala rozbiromsja, a potom budiem dokazywať...“

Wilk, psy i ludzie

Magdalena Samozwaniec domaga się w „Nowej Kulturze“, aby te tr pokazał nam bajkę Krasickiego „O wilku, którego wśród przyjaciół psy zjadły“. „Życie Warszawy“ w

źródłowym wywodzie bibliograficznym przekonywająco dowiodło, że Krasicki pisał jedynie o zającu, którego psy zjadły, dano jednak do zrozumienia, że niesposób znakomitą autorkę podejrzewać o zwy-czajne przejęzyczenie.

Rzeczywiście tu jest ukryta myśl głębsza. Autorka była zapewne przekonana, że skoro jest satyrą-kie-m, to i tak cię psy zjadą. Wśród serdecznych przyjaciół. Nawet, gdy-bys przywdział wilczą skórę.

Do kolegi gaffologa

W „Życiu Warszawy“ skrytykowane nasz felieton „Sprawozdania i uwagi“, gdzie znajduje się zdanie: „Remarque uszedł do Paryża, (prze-cinek) napisał tom naukowych nowel o obozach koncentracyjnych, (prze-cinek) („Iskrę życia“) itd.

W „Życiu Warszawy“ czytamy: „Otoż Remarque rzeczywiście napisał tom pt. „Iskra życia“, lecz po pierwsze nie w Paryżu, po drugie nie przed wojną a obecnie, po trzecie nie jest to tom nowel, lecz powieść. Czy nie za dużo błędów w jednym zdaniu?“

Ośmielam się spytać Was, Redaktorze Kacika Gaffologa, gdzie w drukowanym w „Nowej Kulturze“ zdaniu jest p o w i e d z i a n e, że: 1) „Iskrę życia“ Remarque napisał w Paryżu, 2) że napisał ją przed wojną, 3) że jest to tom nowel; pragnąłbym też wiedzieć: 4) gdzie redaktorzy „Życia Warszawy“ nauczyli się czytać t a k p r z e n i k l i w i e? z k

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 88-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa“. Kolportaż PPK „Ruch“, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują: wszystkie kioski PPK „Ruch“ z wyjątkiem kiosków dworcowych — w terminie od 1 do 25 każdego miesiąca, cena prenumeraty wynosi w styczniu 6 zł, lutym 4 zł, marcu 4 zł, kwietniu 4 zł, maju 6 zł, czerwcu 4 zł — oraz wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca — w terminie następnym, warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4 zł 40, kwart. 13 zł 80, półrocz. 27 zł 60, rocznie 55 zł 20. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-09. Reklam. niezamów. redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wkleśdrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 8,5.

Zam. 279. B-6592